WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY DRUGI.

TOMIK JEDÉNASTY.

WILNO.

JÓZEF ZAWADZKI WŁASNYM NAKŁADEM.

1839.

Pozwolono drukować, pod warunkiem złożenia, po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych, w Komitecie Cenzury. Wilno 1839 r. 5 Października.

Cenzor, Sowietnik Wileń. Medyko-Chirur. Akademii, Radźca Kollegialny, Jan Waszkiewicz.

POEZYA TRUBADURÓW.

I.

W całéj Europie południowéj, od dziewiątego wieku ery chrześcijańskiéj, upowszechnił się już był język uformowany zupełnie na wzór łacińskiego, z mniéj więcéj wybitnémi odcieniami różnic stosownie do miejscowych okoliczności rozmaitym używających go krainóm właściwych. Język ten zniósł odmiany zakończeń w przypadkowaniu, wprowadził więcéj łatwości w czasowaniu słów, zastąpił nagięcia rozmaite trybu biernego przez słowa posiłkowe, ustanowił prawidła wygodne i arcy proste; słowem,

odbyła się tu ważna praca umysłu ludzkiego. Lecz ważniejszym nierównie i bardziéj obchodzącym krytykę widokiem, jest narodzenie się genjuszu pomiędzy nowémi ludami. Trudno jest, zaiste, odkryć pojęcie tego najpiérwszego entuzyazmu poetyckiego, w czasach tak różnych od naszych, i wśrzód obyczajów, których się z wielką usilnością uczyć potrzeba. Ileż to rzeczy zaginie dla nas z téj żywości naiwnéj, z téj melodyi już wykształconéj, która Francyą południową w dwunastym wieku już urzekała! Tysiące zapytań z historyi starożytności i obyczajów nowożytnego świata, tysiące ciekawych badań powinnoby się połączyć razem w uczeniu się poezyi pospolitéj języków z rzymskiego zrodzonych romańskiémi (*roman*) dla tego swojego pochodzenia nazwanych. Lecz naprzód tę sztukę, ten genjusz nowy, rozwijający się z nowym językiem, możnaż uważać samego tylko w sobie? nie wprowadzając bynajmniéj w rachubę nauk i przypomnień łacińskich, które w tymże czasie rozwijały i kształciły umysły ludzkie, pod prze-

ważnym wpływem kościoła? Zaliż nie ma w tém położeniu dwojakiéj pojętności; w téj pracy łacińskiéj i nowoczesnéj, kościelnéj i popularnéj razem, które się odbywały współcześnie, nie zależąc jedna od drugiéj, nie wydająż się rysy charakterystyczne śrzednich wieków, które do żadnéj się innéj epoki przystosować nie mogą?

Dzisiejsza nasza cywilizacya stała się dla nas tłem najtajemniejszych naszych myśli. Życie zrobiło się tak uczone, tak rozwinięte, tak obwarowane rozmaitémi wynalazkami dowcipnemi, że we wszystkiém nad przypomnieniami przeszłości przemaga. Żyjemy jedynie w obecnym czasie, myśli wszystkich służą każdemu w szczególności; nauki rozmaite, przypomnienia wypadków przeszłych toną w uczuciu obecném cywilizacyi, do przyozdobienia jéj tylko i zbogacenia posługując. Ale w śrzednich wiekach stan świata zupełnie od dzisiejszego był różny, gdzie umiejętność rzeczy co innego niż cywilizacya znaczyła; albo raczéj dwie się zarazem cywilizacye znajdowały: jedna cywilizacya

przypomnień i samotności, która się utrzymywała przez kontemplacyą religijną i naukę niektórych pomników starożytności klassycznéj; druga cywilizacya wesoła, ochocza, roztrzepana, a taką życie w zamkach feudalnych stanowiło. W naszych czasach jest zapewne wielu bardzo ludzi z niezmiernym zapałem do nauk, oddanych długoletnim wytrwałym pracóm; lecz te prace nie wyłączają ich z obecnéj społeczności i nie wynoszą za granice współczesnego świata. Znajdująż się oni w innym porządku rzeczy i pojęć niż jest ten, który wszystkich zaprząta umysły?

Nie tak się rzeczy miały w XI i XII wiekach. Człowiek w samotności klasztornéj, oddzielony od świata przez życie zakonne, broniony od gwałtowności przez kraty warujące monastér i przez cześć religijną, która tam wstępu zabraniała, uczył się naprzód ksiąg świętych. Wiele umysłów brzemie tych usilnych nauk przygniatało; i w długich pracach klasztornych, modlitwy połączone z gregoryańskim śpiéwem wszystkich ich myśli pochłaniały. Lecz inne umysły czynniejsze da-

léj się zapuszczały; nie zajmowało ich życie zewnętrzne poza klasztornémi murami, ale życie starożytności klassycznéj. Nie opuszczali oni, w imaginacyi, cel swoich, ażeby się znajdować wśrzód turniejów i uroczystości śrzednich wieków; był to świat dla nich zupełnie obcy; pokazuje się to z oschłości kronik pisanych przez mnichów: ale żyli oni z tymi ojcami starożytności chrześcijańskiéj, Augustynem, Hieronimem, którzy sami, przez naukę, zostali współczesnymi wielkich mężów starożytności pogańskiéj. Przetoż mnich uczony XII wieku, w swoim habicie, któryby zdumiał Cycerona, miał wszelakoż wielką liczbę pojęć filozoficznych, moralnych, literackich, wspólnych z mówcą i senatorem dawnego Rzymu. Przez imaginacyą i myśli swoje, podobniejszy on był do tych sławnych mędrców starożytności, niż do baronów współczesnych, nieuków i srogich ludzi, zakutych w żelazne pancerze, którzy umieli tylko rabować, napadać, mordować i ciemiężyć swoich wassalów.

Język więc łaciński był językiem, nie tylko

językiem kościelnym i uczonym w klasztorach, w epoce, kiedy się rozwijał genjusz nowoczesny w mowie pospolitéj, ale językiem domowym i potocznym. W nim zakonnicy prowadzili rozmowy, w nim uczeńsi układali księgi swoje, w nim kaznodzieje przemawiali do ludu. Święty Bernard każąc po łacinie, miał atoli wielką popularną wziętość. Niektórzy uczeni powątpiéwali o tém; lecz naprzeciwko téj wątpliwości postawić można znakomitą powagę. Sekretarz świętego Bernarda napisał te słowa: «Ja, »którym był porzucił pióro; przeczuwszy »wszakże i poznawszy twoję żądzę posiada- »nia słów tego świętego męża, którego wy- »mowa i mądrość, żywot i chwała po całéj »się rozeszła łacinie (*latinitas*) wziąłem się »znowu do pisania, i to com miał, przeko- »piowałem; i t. d.»

Tak więc, ten dwoisty byt umysłu ludzkiego, na któryśmy już zwrócili uwagę, wszędzie się wydaje. Znajdował się w Europie pewny gatunek rzeczypospolitéj umysłowéj, niewidzialnéj, zależącej od starożytności klas-

sycznéj, używającéj jéj mowy, a tu się nazywała: *Omnis Latinitas*, jak dzisiaj mawiamy: Całe Chrześcijaństwo. Wątpić wszakże nie można, ażeby święty Bernard w języku pospolitym *romańsko-wallońskim*, wybitnie już od *romańsko-prowańckiego* różnym wysłowiał się. Hasło wojenne: *Diex el volt!* bywało zwykłą odpowiedzią ludu.

Godzi się mniemać, że najpiérwsze ważne użycie języka nowoczesnego, najpiérwsze działanie potężnie popularne przezeń wywarte, z początkiem się wojen krzyżowych jednoczy. I rzeczywiście, chcąc sobie wyobrazić sprawę, któraby miała ożywić wszystkie umysły, natchnąć je odwagą, skłonić do przemówienia publicznie, w języku pospolitym, nie możemy nic powszechniéj interesującego wystawić, nad ten zaciąg ogólny wojowników, w imieniu Krzyża świętego, nad to religijne wezwanie, które się zarówno do prostaczka i kmiecia nieuka, jak do barona, to jest do dwóch razem nieuków odnosiło. Cóżby tu zdołał wskórać język łaciński, pomiędzy baronem nieumiejącym czytać a

kmieciem, który tylko na rzeczach wioski lub zaścianku swojego rozumiał? Wtenczas to ujrzano dzielnych mówców w każdéj stronie, którzy potężnie wstrząsali umysły, używających języka pospolitego.

Na południu wiele płodów poetyckich poprzedziło tę epokę popularnéj wymowy. Wielka *Rewolucya Krucyat* pomnożyła ich liczbę, nie zmieniając bynajmniéj ich charakteru religijnego i światowego na przemiany. Czytając je przekona się każdy, że do wojen krzyżowych, równa liczba idei świeckich i płochych, jak natchnionych przez entuzyazm religijny, weszła. Nie przytaczamy tu anegdoty o rycerzu, wyprawującym się na krucyatę dla tego, żeby mógł snadniéj napotkać damę, którą mu trudno było w jéj zamku odwiedzić. Podobne anegdoty, których wojny krzyżowe mnóztwo nieprzerachowane wystawują, dają powszechne o poezyi Trubadurów wyobrażenie.

Wyobraźmy sobie ten stan Francyi południowéj, który sprzyjał genjuszowi tych poetów, i który miękkość ich pieśni natchnął.

Od końca IX wieku, obok téj Francyi północnéj, tak pustoszonéj i szarpanéj przez najazdy obce i zły rząd wewnętrzny, przez wojny domowe i łupieztwo panów feudalnych, Francya południowa dostała prawa łagodniejsze i lepszy sposób życia swoich mieszkańców.

Ustanowienie małego królestwa *Arles'kiego*, którego miejsce poźniéj hrabstwo prowanckie zastąpiło, podzielone następnie na hrabstwa Barcellony i Tuluzy; rządy wielu drobnych książąt, którzy na szczęście swoich poddanych przeminęli niedostrzeżeni; związek księżniczki *Doulce* z hrabią Barcellony; wpływ Hiszpanów, którzy w owéj epoce bardzo byli już postąpili w cywilizacyi, a wiele zasiągnęli z genjuszu świetnego i zalotności rycerskiéj Maurów; wszystkie te przyczyny dały wzrost i w kwitnącym postawiły bycie sztuki prowanckie i umiejętność-ochoczą (*gaye-science*). Wystawmy sobie, że życie feudalne, szczególniejszym sposobem ułagodzone, w tym kraju rzadzéj aniżeli gdzieindziéj na wojny wewnętrzne

narażało; że hrabia Prowancyi i Barcellony utrzymywał dwór wytworny, gdzie się zgromadzało mnóztwo młodzieży szlachetnego rodu, których całe życie schodziło na łowach z sokołem, na układaniu wiérszy, śpiéwaniu ich i ofiarowaniu damóm; potém na dysputach i rozprawach pomiędzy sobą, względem zagadnień pozbawionych wielkiego interesu filozoficznego, które wystawiały sprzeczność pomiędzy *tezami*, w szkole Alberta-Wielkiego albo nawet Metarda roztrząsanémi. Były to zwykle zagadnienia nader subtelne, podobne prawie do tych, jakie P. P. de La Harpe w swoim kursie literatury rozbiérał, kiedy wykładając go w Ateneum przed słuchaczami dowcipnymi, rozmaitych klass towarzystwa, dośledzał z wielką nauką i metodą: zali *Orozman* był nieszczęśliwszym, kiedy wiérzył w zdradę *Zaïny*, czy też, kiedy, po zabiciu jéj przekonał się, że była niewinna. Zagadnienie to z wielką powagą było roztrząsane przez wiele dowcipów wytwornych XVIII wieku; P. de La Harpe czytał ich listy przed swoimi słu-

chaczami, roztrząsał, wyprowadzał wnioski, co wszystko znaleźć może ciekawy czytelnik w Kursie jego literatury.

Owoż te i tym podobne zagadnienia, które, powiedziawszy prawdę, zdają nam się bydź niedorzecznościami ckliwémi z końca XIII wieku, wcześniéj jeszcze nastały i roztrząsane były z wielkim dowcipem we Francyi dwunastego i trzynastego wieku. A Trubadurowie z wykształconym umysłem, za ważne mieli je zatrudnienie. Trubadurem przeto często był człowiek szlachetnego rodu, posiadacz pięknego zamku, mający pod sobą wassalów, jak naprzykład Bertram de Born, który miał tysiąc poddanych; brat jego zabrał mu był ich raz pięćset, lecz on odzyskał swoję własność na powrot, po uporczywéj wojnie. Niekiedy był to książę panujący, jak najdawniejszy z Trubadurów, którego mamy dzieła, Gwilhelm hrabia Piktawii książę Akwitański; który to Gwilhelm, w piérwszéj połowie swojego życia złym był książęciem, a nawet poszlakowanéj sławy rycerzem, który potém narażał się

na przygody wojny Krzyżowników, z nieustraszoném męztwem, a nakoniec wstąpił do zakonu. Niekiedy także Trubadur był sobie tylko pospolitym wassalem, służalcem urodzonym w zamku, jak naprzykład Bernard de Ventadour, syn podpalacza pieców u hrabiego de Ventadour. Ten Bernard odebrał był wychowanie z dobrotliwości swojego pana; miał on talent naturalny do poezyi, głos piękny; układał wiérsze, śpiéwał i poświęcał je rozmaitym osobóm. Wiérsze te zyskały powodzenie. Zaiste, razu jednego hrabia de Ventadour zamknął był małżonkę swoję do ścisłego tarasu zamkowego, a Trubadura nieszczęśliwego przepędził. Wtenczas powędrował on ze swojémi wiérszami, i udał się spokojnie na dwór Eleonory de Guyenne, téj to Eleonory, która tyle mozolnych zachodów niektórych poważnych francuzkich dziejopisów kosztowała; téj małżonki Ludwika-Młodego (*Louis le Jeune*), rozłączonéj z nim dla płochości swojego postępowania, która potém zaślubiła książęcia Normandyi, przyniosła mu Gwija-

nę w posagu, i przez to ułatwiła przedsięwzięcia Anglików względem korony francuzkiéj. Bernard de Ventadour przyjęty został uprzejmie przez Eleonorę de Guyenne; umieszczony był na jéj dworze; pisał wiérsze dla niéj, a w tych wiérszach powiada, iż ona umiała czytać:

Piszę do niéj; ona czytać umié.

Wszełakoż nie mógł tego u niéj dostąpić, ażeby go wzięła z sobą do Anglii na dwór książęcia Normandyi, swojego małżonka, który nie tak dalece smakował w poezyi Trubadurów. Z małego tedy dworu Eleonory, Bernard przeniósł się do poczciwego Raymunda, książęcia Tuluzy.

Po tém życiu, pełném uciechy i doznanych łaskawych względów, zakończył Bernard, jak kończono zazwyczaj w owych czasach: wstąpił do zakonu Cistersów. Tak więc książę awanturnik i tyran, Trubadur płochy i niebaczny, wszyscy na klasztorze kończyli.

Trubadur miewał przy sobie kogoś na-

kształt giermka przy rycerzu. Trubadur układał wiérsze i częstokroć sam je śpiéwał; ale prócz tego towarzyszył mu jeden albo też dwóch *trefnisiów (jongleur)*, którzy śpiéwali jego wiérsze, albo recytowali długie romanse i historye rycerskie. Ponieważ trefniś był osobą podrzędną, kiedy już naopowiadał się dosyć, dla odmiany pokazywał sztuki. W obyczajach owego czasu stan Trubadura przybiérany chętnie przez możnych, w szczególniejszém był poszanowaniu; przeciwnie, rzemiosło trefnisia pewnemu lekceważeniu podlegało. Zawsze atoli, kiedy ktoś biegłym i szczęśliwym bywał trefnisiem, wynosił się na stopień Trubadura. Śpiéwając często cudze wiérsze, nabiérało się wprawy do układania własnych; jeżeli te wiérsze były dowcipne, jeżeli je powszechnie powtarzano, jeżeli miały szczęście przypaśdź do smaku sławnym współczesnym pięknościóm; wtenczas książę albo hrabia jaki pasował trefnisia na rycerza: zostawszy zaś rycerzem, kiedy ktoś posiadał o c h o c z ą u m i e j ę t n o ś ć *(gaye science)*, już tém samém miał prawo do za-

szczytów Trubadura. Niekiedy także będąc już Trubadurem, kiedy który wpadł w przewinienia cięższe od tych, które Trubaduróm bezkarnie uchodziły, zniżony bywał do stopnia trefnisia. W biografii Trubadurów, napisanéj językiem *romańskim* prozą, łatwiejszym do zrozumienia, niżli wiérsze czytamy, że Guualm Faidil, sławny Trubadur, mając nieszczęście przegrać w kości całe swoje mienie, zniżony został do stopnia trefnisiów, i w tym charakterze przyjmowano go w zamkach.

Wszystkie stany, składające społeczność, dostarczały Trubadurów. Zawód ich dosyć był jednostajny w swojéj ochoczéj wesołości, bez żadnych innych przygód i wypadków, prócz tego jednego uczucia, które im za natchnienie służyło. Rzadko Trubadurowie bywali uczęstnikami wypraw do ziemi świętéj. Przez pienia swoje zachęcali oni do Krucyat; ale roskosze dworów prowańckich zatrzymywały ich w domu. Był wszakże jeden, którego wędrówka stała się rozgłośną i wziętą do tego stopnia, że mnich ze Złotéj-Wyspy,

historyk Trubadurów na czele go wszystkich innych pomieścił. Był to Geoffroy Rudel; historya jego będzie nienajdłuższa.

Geoffroy Rudel słynął ze zwrotu dowcipnego swoich piosnek i ze słodyczy swojego głosu. Układał także historye długie, których nie pisał, ale które pod czas wieczorów długich w zamku opowiadał. Jednego razu pokazano mu portret damy francuzkiéj z Ziemi-Świętéj hrabinéj de Tripoli. Na widok tego portretu zrobił on postanowienie wyprawić się na Krucyatę. Pomimo żałość licznych jego przyjaciół, tudzież usiłowania, jakie czyniono w *Béziers* i w innych miastach, ażeby go zatrzymać, nie zmienił swojego postanowienia. Wsiadłszy na okręt w Marsylii, przez cały czas żeglugi swojéj układał prześliczne wiérsze o swoim odjeździe, który nie był pobożną jedynie pielgrzymką. W podróży téj zachorował ciężko i umiérający przybił do Tripoli; rozgłoszono w tém mieście, przez połowę francuzkiém, przez połowę saraceńskiém, że przybył okręt ze wschodu, i że się na tym okręcie znajduje

rycerz, poeta, przybyły z daleka, powodowany rozgłosem cnót hrabinéj tripolitańskiéj; że leżał niebezpiecznie słaby i żądał ją przed śmiercią oglądać. Hrabina de Tripoli tknięta tém tak wielkiém poświęceniem się i tém nieszczęściem, udała się do okrętu, ofiarowała swój pierścień rycerzowi, który, jak wieść niesie, obaczywszy ją skonał.

Owoż historya, sucho tu w treści saméj opowiedziana. Jest to, iż tak rzekę, wywód słowny romansu; ale czytelnik widzi, co poetyczna i uśmiéchająca się imaginacya XII i XIII wieku mogła sobie roić nad takiémi przypomnieniami. Pojmuje każdy z łatwością, jak żywémi, urozmaiconémi i nowémi barwami poezya Trubadurów, ten fakt króciutko tu opowiedziany, mogła przyozdobić.

Owoż jest niezaprzeczona, że z tym ruchem świata, z Krucyatami, z tém pomieszaniem wojen i namiętności, wyszedł na świat nowy entuzyazm, który poźniéj miał natchnąć genjusz Tassa i utworzyć tę przedziwną nowoczesną poezyą włoską w XVI wieku. Anegdoty obyczajowe, powiastki hi-

storyczne naturalnie tu się jednoczą z dziejami nauk i z rozwinieniem się genjuszu poetycznego w nowoczesnéj Europie.

Ale powié ktoś może, cóż za znaczenie i wpływ tych Trubadurów? same tylko piosnki i wędrówki. Cóż ich za talent poetycki? wiérsze ich podobne są bardzo do ckliwych rymów nowoczesnych, którémi codziennie zarzuceni jesteśmy, do tych noworocznikowych wzdychań i narzekań bez uczucia i namiętności. Jestże jakakolwiek oryginalność w ich talencie? Zaliż się on jednoczy z nową dla umysłu ludzkiego epoką dla sztuk imaginacyi smaku i wytworności? — Takbyśmy mniemali. Jeden tu wzgląd tylko przyczynia nieco mitręgi; to jest równość jednostajna chwały i talentu pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi. Charakterem właściwym gienjuszu jest, prowadzić réj pomiędzy tłumem rozlicznych talentów. Zaczyna się kształcenie gustu w jakimsiś narodzie; język pospolity zrazu jest wspólny wszystkim. Niechże się zjawi człowiek z genjuszem, wnet mowę właściwą sobie utworzy. Czytając wszystkich

Trubadurów, jesteśmy uderzeni jednostajnością, wdzięczną zaiste, ich obrazów i ich wyrażeń. Poezya ich uśmiéchająca się i dźwięczna, zdaje się być brzmieniem jednéj i téjże saméj muzyki. Uczącemu się ich z pilnością trudno wszakże jednego od drugiego niechybnie rozróżnić. Muzy wszakże, które ich natchnęły i nauczyły śpiéwać, nie całkiem jednostajne mają oblicze:

Facies non omnibus una
Nec diversa tamen, qualem decet esse sororum.

Zachodzą nadewszystko różnice w charakterach, które wybitne odcienia wydały. Żaden z nich, tegośmy zdania, nie przodkuje przed wszystkimi górującym genjuszem. Ale niektórzy z nich, w przygodach swojego życia i w zapale doznanych namiętności wyczerpnęli coś potężnie oryginalnego i to się poezyom ich udzieliło. Nie wiémy, zali talent ich był wyższym; ale dzieła ich odmiennym blaskiem jaśnieją między innémi. Ta różnica najbardziéj odbija w tych, którzy się powołaniu wojskowemu poświęcili. To życie wojownicze śrzedniego wieku, u Trubadurów

rycerzy właśnie, najdzielniéj oddycha; daremniebyśmy go w kronikach łacińskich szukali. Kiedy kronikarz mnich cokolwiek na uczonego zakrawał, opowiadania jego są nieoznaczone, pełne frazesów Tyta-Liwiusza. Zawsze tam zupełny znajduje się brak znajomości sztuki wojennéj; czytając kronikę, nie poczujemy, jak w XII wieku serce biło pod zbroją. Nie zrobimy sobie żadnego pojęcia o rodzie tych mężów hardych, nieunoszonych, orężnych; nie wystawimy sobie cnót, jakie się z ich męztwem dzikiém łączyły; nie pojmiemy ani ich grubiaństwa, ani ich genjuszu. Przeciwnie, w tych rycerzach poetach, w tych wojownikach namiętność do boju śpiéwających, cała ta gra życia awanturniczego, to pomięszanie miękkości z instynktem do walki, tak jest wydane, jak było rzetelnie w ich uczuciu, z żywością, częstokroć natchnieniu wielkich wieszczów wyrównywającą. Ale ponieważ skutek ten więcéj od namiętności niżeli od talentu zależy, ponieważ jest to błyskawica heroizmu migająca w wiérszach, przetoż,

poezja Trubadurów, w tym rodzaju, dzieł długich nie wydała. Nie widać w nich Danta, nawet i Petrarchy. Są to wezbrania wymowne, lecz wnet przemijające gniewu i nienawiści, są to pienia chwilowe. Dopóki wojownik Trubadur znajdował się pod wpływem zapału swojéj namiętności, dopóty był on poetą; ale tego genjuszu wprawnego i biegłego, téj sztuki głębokiéj, téj umiejętności posiadania talentu na długo, zdaje się, że Trubadurom nie dostawało. Nawet było to rzeczą niepodobną, w tém życiu tułackiém, wystawioném na tyle miotania się i niespokojności. Któżby długie poemata spamiętać podołał? Te pienia zbyt upowszechnione zachowywały się jedynie w pamięci: nie jeden Trubadur pomiędzy wojownikami nie umiał pisać. Chociaż utrzymywano, że pamięć sama jedynie przechowała, do pewnego czasu, wielkie poemata homeryczne, przykład wszelakoż Trubadurów i nowoczesne pienia ludu greckiego, każą mniemać: że tam, gdzie cywilizacja mało co jeszcze jest rozwinięta, poezja dzieł wielkich nie stwarza.

Potrzeba więc, ażebyśmy się ograniczyli, schwyceniem, w wiérszach Trubadurów rysów charakterystycznych i narodowych natchniętych przez namiętność wojny oraz przygody życia feudalnego.

Jeżeli chcemy pojąć czém był pan feudalny śpiéwak, wojownik poeta, rycerz Trubadur, obróćmy się do Bertrama de Born. Jego życie burzliwsze było od życia wszystkich innych Trubadurów razem, charakter jego uporczywszy, wyniośléjszy i dumniejszy; szorstkość i grubiaństwo śrzednich wieków całe są w nim skupione. Wszelakoż, wiérsze jego są gładko, zgrabnie i umiejętnie przeplatane; przecięcia uczone, spadki harmonijne i symetryczne, sztuka, którą Petrarcha w pośrzód słodyczy swojego życia duchownego w pięćdziesiąt lat potém odkrył, już się u Bertrama de Born znalazła wśrzód zawichrzeń i trudów wojskowéj professyi.

Tego żadne usiłowanie naśladownicze wydać nie potrafi. Przetoż sprawiedliwie twierdzi *Wilhelm* Schlegel, że charakteru po-

czyi Trubadurów szukać i uczyć się należy w samych oryginałach. Sama nawet poezja francuzka z największą sztuką prowadzona, nie podoła zwrotom nienaśladowczym rytmu prowanckiego. Chcąc przeto poezye te przekładać na inny język, zamiast rozprawiania o nich, chcąc postawić, iż tak rzekę czytelnika przed oblicznością takiego poety wojownika, jakim był Bertram de Born, lękać się słusznie wypada, ażeby nie zepsować i nie zmienić tego, co on po swojemu powiedział. Niech sobie czytelnik wystawi, że umiejętność i sztuka wyrównywająca prawie biegłości poetów starożytnych, w oryginale, związała budowę wyrazów, pocieniowała rozmaitości dźwięków i nastroiła wymierność spadków; potém niech się tylko nad myślami i namiętnémi uczuciami zastanowi.

»Lubię bardzo słodką wiosnę, która liście i kwiaty rozwija. Lubię słuchać uciesznego śpiéwania ptasząt, którém się lasy rozlegają. Lubię widzieć na łące rozpięte namioty żołnierskie. Lubię ze wzruszeniem aż do głębi serca, sprawionych, na polu, w szeregi

wojowników, na okrytych zbrojnym rzędem rumakach.

»Lubię kiedy podjazdy płoszą ludzi i bydło. Lubię kiedy po za nimi tłumy zbrojne podniosą razem przeraźliwą wrzawę; a pojąć się nie mogę od radości kiedy widzę oblężenie zamków warownych, i runienie z łoskotem murów z fundamentu wykorzenionych, kiedy oglądam wojska nad brzegiem głębokich przekopów ostrym obwarowanych częstokołem.

»Lubię dzielnego barona, który piérwszy naciera siedząc na zbrojnym rumaku, okazuje się nieustraszonym i dodaje serca swoim, przez waleczną odwagę. A kiedy przybywa do obozu, każdy się musi pokwapić i chętnie iść za nim. Albowiem człowiek tyle wart tylko, ile dał albo odebrał ciosów. Wnet ujrzymy włocznie i bułaty strzaskane, strącone przyłbice, zdruzgotane barwione puklerze, na początku rozprawy, wassalów uderzających tłumnie, pierzchające na oślep rumaki poległych i ranionych; a kiedy bój krwawy przejdzie w zamięszanie, człowiek

wysokiego rodu niechaj innéj nie ma myśli, jak tylko strącać głowy z karku i obcinać ręce; albowiem więcéj wart u mnie umarły, aniżeli zwyciężony żywy. Powiadam wam: jedzenie, picie, spanie, tyle dla mnie słodyczy nie mają, jak kiedy słyszę z obu stron hasło: *nacieraj!* kiedy konie pozbywszy jeźdźców rżeć zaczną po lesie, i rozlegać się wołania: *ratunku! ratunku!* a tu obaczysz runących do przekopu wielkich i małych razem i ujrzysz poległych, którym jelca włoczni tkwią w przeszytych bokach.

»Baronowie, oddajcie w zastawę zamki, wsi i miasta, piérwéj niż was kto wyzwie i na rękę!

»A ty mój śpiéwaku, biegaj co żywo do *tak i nie*; powiedz mu, iż zadługo używają spoczynku.»

A wiecież kto to był *tak i nie?* — Był to Rychard Lwie-Serce. Rychard był politykiem i wojownikiem razem, nic go tak bardzo nie naglilo zawsze do wojny, powiadał: *tak i nie*; a Trubadur w swojém rozweseleniu szyderczém, z jego téj rostro-

pności, obelżywe przypiął mu nazwisko. Obaczmy z jakiém nieuszanowaniem traktuje on królów!

Nie uczciwiéj też obchodził się on z własną swoją rodziną.

»Brat mój, powiada on w jedném miejscu, chce posiąśdź ziemię moich dzieci; chce ażebym mu cząstkę jéj ustąpił; Powiedzą może, iż to jest złośliwość nie ustąpić jemu wszystkiego i nie zostać jego najuniżeńszym wassalem. Ale ja oświadczam, że źle on wyjdzie, jeżeli będzie śmiał mierzyć się ze mną. Wyłupię temu oczy, kto mi dobro moje wydrzeć się pokusi. Pokój mi nie przystoi, wojna jedynie mi się podoba. Nie daję ja uwagi ani na poniedziałek ani na wtorek. Tygodnie, miesiące, lata, wszystko to dla mnie jedno. Każdego czasu mam ochotę zgładzić tego, ktokolwiek mi szkodzi. Niechby wystąpili we trzech, jakażkolwiek byłaby ich potęga, nie zyszczą na mnie ani jednéj piędzi ziemi. Niechaj inni, jeżeli im się podoba, starają się o upięknienie swoich domów, i o przysposobienie sobie życia peł-

nego słodyczy. Co do mnie, przygotować zapas włoczni, szyszaków, mieczów, koni, to to lubię. Słusznie czy nie słusznie, nic nie ustąpię z mojéj posiadłości *Haut-Fort'u:* należy ona do mnie, a kto chce wojować, chętnie się zgadzam.»

Wybierając dzisiaj pomiędzy mnóztwem Trubadurów (liczba ich bowiem niezmierna, w uczeniu się jak największą trudność wystawia) wzięliśmy jednego, który najdzielniéj się wojowniczém pieniem odzywa, i któregoby sprawiedliwie Tyrteuszem śrzednich wieków nazwać można.

Rozważaliśmy dotąd, piérwsze rozbudzenie się ducha poetycznego w Europie. Już w niektórych pieniach Trubadurów postrzegliśmy rodzącą się oryginalność nowoczesnego genjuszu. Potrzeba nam się teraz wstecz cokolwiek cofnąć, albo przynajmniéj wyboczyć na stronę, dla zupełniejszego pojęcia przedmiotu, który roztrząsamy; co będzie robotą przytrudną zaiste, ale konieczną.

Poezja ta Trubadurów jestże całkowicie swojska i naturalnym wpływem miejscowo-

ści natchniona? Zwykłe prace krytyki naszéj nowoczesnéj, badanie we wszystkiém najpiérwszych początków, odkrycie i dośledzenie tego, co jedna literatura pożyczyła od drugiéj, zaliż nie powinny tutaj nas zatrudnić? Tę poezyą Trubadurów mamyż poczytywać za kwiat prowancki, który się równie dobrowolnie jak kwiat polny rozwinął? nie powstałże on z nasienia skąd inąd przyniesionego? — Mniemania uczonych i głęboko uczonych, pod tym względem, są rozmaite. Jeżeli mamy słuchać uczonego P. Andrès, powié nam: że poezya prowancka, którą Dante i Petrarcha naśladowali, bynajmniéj od wpływu Arabów nie zależała (1). Czytajmyż przeciwnie krytyków, którzy nie są, zaiste, oryentalistami, ale są głęboko uczeni: PP. Ginguené i Sismondi

---

(1) *Egli è vero che nelle composizioni de' Provenzali non si scorge vestigio d'arabica erudizione ne v' è sequo alcuno d' etterti formati i provenzali poeli su le poesie degli Arabi.* (Andres. Dell' origine è de progressi d' equi littèratura. P. I. Cap IX.)

utrzymują, że poezya prowancka jest nieprzerwaném naśladowaniem arabszczyzny.

Ale pominąwszy to, azaż poezya prowancka nie poczerpnęła jeszcze z innego źrzódła? Uczona starożytność zaliż jéj zupełnie była nieznana, jak to niektórzy przypuszczają? Czyliż rozłąka pomiędzy dwiema cywilizacyami, które pomiędzy siebie podzieliły, iż tak rzekę, Europę, jednę swobodną i śpiéwającą, drugą mniszą odgrodzoną murami od świata, ta rozłąka, powiadam, czyliż tak była surowa i ścisła, iż żadne przypomnienie klassyczne, poetów śpiéwających językiem pospolitym dolecieć nie mogło? — P. Gingueni tego jest zdania; powiada on, że w Trubadurach natrafić nie można żadnego przypomnienia przypadkowego nawet, poezyi starożytnéj. Jest to prawdą tylko po części. Iście, Bertram de Born i podobny jemu jakikolwiok wojownik poeta, nadto był zatrudniony sztuką rycerską i losami oręża, ażeby miał ślęczeć nad jakimsiś rękopismem greckim lub łacińskim; ale tego powiedzieć o wszystkich Trubadurach, bez wyjątku, nie

można. Niektórzy z nich zarówno do obu cywilizacyj, tudzież do obu literatur należeli. Arnaud Daniel, od którego sławny Arnaud d'Audilly ród swój wyprowadzał, wiele bardzo, w młodości swojéj pisał po łacinie, i ułożył pieśń w języku romańskim, któréj dał tytuł: *Las Phantomarias del Paganisme* (Rojenia Poganizmu). Owoż człowiek, który doszedł do poezyi popularnéj przez klassyczną erudycyą. Inny znowu Trubadur, w młodości swojéj był posłany do Tuluzy, dla uczenia się tam prawa kanonicznego, a strawiwszy czas niemały na téj nauce, porzucił ją dla umiejętności ochoczéj (*gaye science*).

Poezya przeto prowancka nie jest tak wolna i tak czysta, jakby ktoś mniemał, od wszelkich przypomnień starożytności, tudzież od pożyczek klassycznych. W małéj liczbie poezyj romańskich, któreśmy poznać mieli okoliczność, natrafiamy na niektóre naśladowania literalne klassyków, i przystosowania mitologiczne. Owoż, drobiazgowy zaiste, ale uderzający tego przykład. Owidyusz powiedział:

Naso tibi mittit, quam non habet ipse salutem.
Nazo tobie zasyła życzenie zdrowia, którego sam nie ma.

Znajdujemy toż samo wyrażenie, tęż samę igraszkę słów w jednym z poetów prowanckich, *zasyłającym swojéj damie dzień dobry którego sam nie ma*. Więcéj, jak mniemamy, w tém miejscu jest naśladowania, aniżeli spotkania się trafunkowego. W innném miejscu, wytworna strofa Trubadura przypomina bajkę o Narcyzie. Bernard de Ventadour pożycza u Owidyusza porównania téj włoczni, która sama mogła leczyć rany przez siebie zadawane.

Vulnus in Herculeo quae quondam fecerat hoste,
Vulneris auxilium Pelias hasta tulit.

Ta mała liczba przybliżeń pozwala mniemać, że starożytność klassyczna nie była zupełnie stracona dla imaginacyi Prowańczyków, i bądź to przez tradycyą, bądź innym jakim sposobem, doznali oni pewnego jéj wpływu. Nie są to, jakeśmy już powiedzieli, najwięksi ich poeci, tacy których ożywiał zapał wojowniczy: oni nie mieli czasu do

czytania. Tylko w to, z pewnością, wierzyć można, iż w poezyi prowanckiéj krążyły niektóre przypomnienia starożytności; lecz w niéj nie przemagały, a z czasem się pod kolorytem narodowym i współczesnym zatarły.

Ostatni przykład udowodni to bardziéj, niżli wszystko, cośmy dotąd powiedzieli. Znajduje się taki poeta prowancki, który się głębokim erudytem, na swoje czasy wydaje:

»Jest to słuszna i sprawiedliwa (powiada ten poeta), ażeby człowiek póki tylko żyje na świecie, uczył się od tych, którzy najwięcéj umieją. Nigdyby mądrość Salomona, i Platona umiejętność rzeczy, i genjusz Wirgilijusza, Homera i Porfira, tudzież innych uczonych, którycheśmy słyszeli imiona, niebyły poszukiwane, gdyby w utajeniu pozostały.»

Owoż Porfir, którego pedanci nawet nie najwięcéj czytają, a który tu jest nie najstosowniéj zacytowany, Porfir znajomy Trubadurowi. Wreszcie, lubo nie można podać w powątpiwanie tych przypomnień starożytności klassycznéj, wpływ ich wszelakoż dosyć jest mierny i lekki, w stosunku do ogó-

łu płodów, które się muzie prowanckiéj należą. Potrzeba szukać gdzieindziéj; potrzeba zwrócić swoje wejrzenia ku innemu źrzódłu, tém bardziéj, że analogje pomiędzy literaturami, nie zależą od małéj liczby pożyczek przypadkowych, albo nawet od pewnych naśladowań systematycznych; ale nade wszystko od stosowności klimatu i genjuszu, które sprawują, że lud jeden skłonny jest naturalnie kształcić się na wzór innego ludu, jedna epoka czasu na wzór drugiéj. Owoż poezya południowa śrzednich wieków, przez swój postęp żywy, swobodny, śmiały, lekki, przez swoje zajęcie się zwyczajowe, przez swój entuzyazm, przez swoję formę metryczną, którą sobie przybrała, nie wiele się bardzo do klassycznéj starożytności przybliża; wpływy téj ostatniéj, które aż do niéj dosięgnęły, nie przeniknęły i nie ożywiły jéj całkowicie; nie tu jest jéj początek i jéj pokrewna rodzina. Prawdziwe podobieństwo, familijna powinowatość genjuszu, zachodzi u niéj z tą literaturą Wschodnią, o któréj tu coś powiedzieć potrzeba.

Człowiek zabiérający się dzisiaj rozprawiać o literaturze Wschodniéj, nie umiejąc ani jednego słowa po arabsku, podobny jest do ludów i poetów śrzednich wieków, którzy doznali wpływu literatury Wschodniéj, nie zajrzawszy jéj w oblicze. Tysiącami zakrętów, tchnienie poezyi arabskiéj, ta wdzięczna wonia Arabii wionęła na Zachodnią stronę Europy, a zapał poetyczny Wschodu dostał się na jéj Południe, które względem Arabii prawie jest północą. Nie przez naukę to rzeczywiście, nie przez badanie niezmiernych zbiorów literatury arabskiéj, Europejczycy, w śrzednich wiekach, to wrażenie afrykańskie i azyatyckie odebrali; stało się to za pośrzednictwem przejścia niedostrzeżonego przez jakąś, że tak powiémy, zarazę poetyczną i popularną. Mariana opowiada, że w XI w., pod czas oblężenia Kalkanassoru, pewny ubogi rybak, śpiéwał, na przemiany, w arabskim i pospolitym języku, tren nad nieszczęśliwym losem tego miasta. Taż sama nóta raz do słów obcych, znowu do narodowych należała. Z tego przykładu widzimy:

że w Hiszpanii, wojna i handel częsty pomiędzy dwóma ludami, upowszechniły znajomość języka arabskiego wpośrzód Chrześcjan; a wątpić też nie można, żeby się Arabowie nawzajem, mowy ludu zawojowanego nie nauczyli. Owoż ten język pospolity w Katalonii, nie innym był, tylko językiem prowanckim, który naturalnym porządkiem, wpływu ducha arabskiego doświadczył. Dyalekt pospolity, jakim, w innych częściach Hiszpanii mówiono, był oddzielny i różny od języka romańskiego; ale mając za wspólne z nim źrzódło łaciński, i zachowując wyrazistość współbrzmienia, łatwo był rozumiany od wszystkich ludów Europy łacińskiéj, i nie mógł odcieni barw arabskich innym narzeczóm nie udzielić.

Zastanówmy się tylko nad wpływem pobytu Maurów wpośrzód Hiszpanów, nad tą wzajemną zamianą wyobrażeń, jakie podbicie tego kraju, pokój, tolerancya wojny i traktaty, pomiędzy témi dwóma plemionami ludów zaprowadziły. O! z jakże okazałém, a wszelakoż z pospolitém miejscem możnaby

tu na popis wystąpić o literaturze wschodniéj! Jakżeby tu było snadnie za pomocą Dziennika Uczonych (*Journal des Savans*) cofnąć się aż do epoki przed-Mahometowéj, aż do siedmiu poematów zawieszonych w świątyni Meki; potém skréślić ten poetycki Arabów instynkt, to życie pasterskie zawsze jednostajne na nieograniczonym rozłogu pustyni, tę imaginacyą ubarwioną skwarem płomienistego słońca, która odradza zawsze, nigdy się nie wysilając, skarby tak bogatego przyrodzenia, i znajduje nieprzebrane wyrażenia, na odmalowanie *gazelli*, albo wystawienie burzliwéj nawałnicy. Ale będą tylko to wrażenia pożyczane, bogactwa plagiatorskie, przypomnienia z książek, podania z trzeciéj ręki, entuzyazm ze źwierciadła w zwierciedle odbity: a więc nie pokusimy się o to: przywiążemy się tylko do jednego postrzeżenia, które każdy w stanie jest uczynić, a o którém baczny czytelnik niechaj raczy osądzić. Zważmy naprzód ścisłe podobieństwo, pomiędzy genjuszem hebrajskim właściwie tak nazwanym, a genjuszem oryentalnym. Biblia

w swojéj części ludzkiéj i poetycznéj, kiedy jéj górność tylko rozważać będziemy, jest arabską. Hiob jest Arabem. Ktokolwiek czytasz ten poemat, w przekładzie tak pełnym życia, tak natarczywym, tak oryentalnym świętego Hieronima, uniesiony tém opisaniem rumaka, wrzącém poezyą, témi rozmowami Hioba z jego przyjaciołmi, témi wyrażeniami świetnémi malującémi świetność i okazałość stworzenia, zaliż się nie przenosisz wpośrzód kraju obyczajów, imaginacyi arabskiéj; nie przebywaszże na pustyni, pod namiotem; nie czujeszże dostateczniéj tego przyrodzenia wschodniego, niżbyś je mógł sobie z opowiadań i szperań głębokich, wsparty całą erudycyą oryentalną wyobrazić?

Przystaję na to, co doktor Lowth utrzymuje, że górność ksiąg Hioba, natrafiana w starych poezyach czysto arabskich, wiele bardzo utraca. Ależ znajduje się przynajmniéj wielka i statecznie utrzymana analogia co do formy, co do śmiałości obrazów, co do żywości zwrotów, ustawicznych allegoryj mowy, uosabiania poetycznego wszystkich

części natury: a toż właśnie jest arabsko-hebrajski charakter. Owoż ten genjusz europejski, który tak jest rozważny, bystry, dowcipny, ale którego chód i postęp entuzyazmu nie jest tak żywy i bystry, który w swoich wezbraniach poetyckich nigdy nie wylewa z brzegów, jakkolwiek przywalony był gruzem śrzednich wieków, odebrał, wszakże, dwakroć, w owéj epoce gorące i ożywne wrażenie genjuszu oryentalnego: naprzód uczęszczając na mszą, słuchając śpiéwów liturgicznych i podań cudownych wiary. Nieroztrząsając ich tu pod względem poetycznym, jak to uczynił znakomity pisarz, ograniczymy się tylko napomknieniem, że genjusz oryentalny, poezya hebrajska płyną tam z pełnego źrzódła, i że ta codzienna górność religijna, ta poezya modlitw porannych i wieczornych, działała na imaginacyą Europejczyków i powinna ją była natchnąć czémsiś, w wysokim stopniu, śmiałém i żywém, czego imaginacya grecka i łacińska nie miała. Tak więc najpiérwszy wpływ pobożny i kanoniczny oryentalnéj imaginacyi, przecho-

dząc przez Chrystyanizm zagrzał umysły północne. Wpływ ten, w znakomitéj części, w uniesieniach mistycznych, aż po dni nasze został pomiędzy Niemcami, u których najpiérwszym wzorem wymowy, w języku pospolitym, było tłumaczenie Biblii przez Lutra. Tenże sam wpływ równie się przebija w Szekspirze, w tym mężu północnym, który tylu oryentalizmami mowę swoję napełnił.

Obok tego wpływu oryentalnego, udzielonego ludóm europejskim przez Religiją, znalazł się inny, przyniesiony przez niewiernych Muzułmanów. Było to nowe wstrząśnienie, udzielone genjuszowi Europejczyków, inny popęd ku wschodowi. W tymże samym czasie, kiedy kazania chrześcijańskie, modlitwy i ćwiczenia duchowne, parabole ksiąg świętych, stare legendy piérwszych wieków, urodzone z Biblii, tudzież z genjuszu oryentalnego, wstrząsały grube i nieokrzesane imaginacye barbarzyńców zachodnich, napady Arabów nowy przyniosły płomień, nowe ognisko oryentalne w Europie rozniecíły. Powiedziano: że Alkoran wielkim jest plagia-

tem Biblii. Rzeczą jest jawną i uczony Hyde to udowodnił, że Mahomet chcąc wydźwignąć Arabiją z bałwochwalczych zabobonów i skłonić ją do wiary w jedynego Boga, natchniony był duchem ksiąg świętych, od dawna upowszechnionych na wschodzie. Opowiadanie zgodne, lub też słabo tylko zmienione, częste alluzye, parabole brane w témże samém znaczeniu, naśladowania całych form mowy i języka, dają rozpoznać toż samo źrzódło w dziele proroka arabskiego. Alkoran, jako Ewangelija Arabów, wprowadzony przez nich do jednéj części Europy, przypominany bez ustanku, we wszystkich swoich słowach, a poufały nawet Hiszpanóm, którzy go nie uznawali, wstrząsnął na nowo umysłami europejskiémi, w ich kierunku. Przetoż dwa wpływy najodmienniejsze od siebie, dwie siły *antipatyczne* przybyły od wschodu, żeby się połączywszy razem obudziły zachodnie umysły, udzielając im pewnéj barwy tego genjuszu oryentalnego, który był źrzódłem wszystkich Religij wraz ze wszystkiémi poezyami.

Pozostaje teraz do sprawdzenia, zali w cywilizacyi wyłącznéj Arabów, którzy byli podbili Hiszpaniją, zali w stosunkach Hiszpanów z nimi i z ludami południowéj Francyi znaleźć można ślady wpływu na początek i rozwinienie się poezyi prowanckiéj wywartego.

Kiedy zwrócimy baczenie na Europę IX i X wieku, niepodobieństwem jest, z niewielką nawet znajomością rzeczy, nie uznać tego szczególniejszego piérwszeństwa genjuszu arabskiego, w pewnym przeciągu śrzednich wieków. Tak zaiste, w cząstce szczupłéj włoskiéj ziemi, w tym Rzymie, którego nazwisko było jeszcze największą potęgą świata w IX wieku, znajdowało się najobfitsze cywilizacyi źrzódło. Lecz to, co było narzędziem téj cywilizacyi, było też zrazu jedyną jéj formą i jedyną myślą. Rzym był tylko jeszcze teologicznym. Zawiérały się, zaiste, w téj Teologii cuda cywilizacyi przyszłéj, sztuk, erudycyi, genjuszu; ale wszystko to było jeszcze w twardéj i chropawéj łupinie. Rzym w owym czasie nie myślał je-

szcze o wźniesieniu pod obłoki kopuły pantionu, o tworzeniu zdumiewających arcydzieł sztuki; nie miał on jeszcze ani snycerzów, ani malarzy, ani poetów. Byli tylko w nim księża; tak jak na początku wielkości dawnego Rzymu, sami się w nim tylko znajdowali żołnierze. W XII, XIII i XIV wiekach, ci wielcy Papieże, którzy odmienili postać świata, panują nad nim, którzy go prowadzili nieznacznie do wyższości w oświéceniu i sztukach, nie otaczali się jeszcze żadnym świetnym i okazałym urokiem, jaki miał poźniéj z téj zadziwiającéj potęgi wyniknąć; ograniczali się oni jedynie Teologiją, albowiem Teologija była dla nich najwyższéj władzy godłem. Przetoż siła cywilizacyi, która miała swoję stolicę w Rzymie, była wielka, płodna; lecz co do swoich form piérwotnych nader się w szczupłych granicach zamykała: nie była ani dowcipna, ani głęboko uczona; przemawiała do imaginacyi mistycznéj, nie zaś do myśli mnogiéj i urozmaiconéj przez sztuki: wtenczas, kiedy ta druga cywilizacya mahometańska, która się

tak prędko miała wysilić i oschnąć w swém źrzódle, nie mając w swojém łonie, jak Chrystyanizm, płodnego piérwiastku dążenia do coraz wyższéj doskonałości, w IX wieku, wielkiém światłem, w umiejętnościach i sztukach, mignęła.

Azya i część Afryki napełnione były przez Arabów z wielkością sztuk i przepychem zbytku. Miasta, któreby dzisiaj poczytano za barbarzyńskie, Balk, Samarkanda, sławne były uniwersytetami i szkołami liczniejszémi niż w grodach europejskich. Mocarz arabski wymagał za daninę dla siebie od cesarza greckiego, ażeby mu przysłał najwięcéj, jak tylko bydź może, dawnych rękopismów. Wielu z tych monarchów, którzy uroczne pałace Bagdadu zamieszkiwali podczas długiego swojego panowania, pilniejszéj i bardziéj znaglającéj troskliwości nie mieli, jak zachęcanie uczonych i poetów, zbiéranie licznych bibliotek, poruczanie uczonym tłumaczenia i pisania dzieł w różnych przedmiotach. Imiona Harun-al-Raszyda i syna jego Al-Mamuma znamionuje po-

czątek téj ery wsławionéj, która się pod ich następcami przedłużała. Nigdy, ani Leon X, ani Ludwik XIV, nie opiekowali się naukami z większém upodobaniem i z hojniejszą szczodrobliwością. Literaturze téj, zaiste brakło na wielkości i na energii; lecz w poezyi swojéj była ona świetna, w formach uczona.

Nie tylko znajdowała się w niéj ta obfitość śmiéjących się fikcyj, oraz powieści poetycznych, właściwych młodości wschodniego ludu; lecz poufałe jéj były prace, literaturom starym właściwe. Wiek bez cywilizacyi arabskiéj wydał nieprzerachowaną liczbę grammatyków, professorów, kommentatorów, pisarzów słowników i zbiorów rozmaitych, w różnych, jakie tylko można sobie wyobrazić kształtach. W Fez i Maroko, rozprawiano i kompilowano, jak w uczonych stolicach europejskich, za dni naszych. Literatura arabska przybrała inny jeszcze charakter, przechodząc z Afryki do Hiszpanii. Tam nade wszystko możemy się jéj przypatrzyć, przez powłokę przejrzystą tłumaczeń i odbicie się w zwier-

ciadle naśladowań popularnych. Stamtąd to działa najpotężniéj ona na imaginacyą Południowców europejskich i rozchodzi się z tém większą szybkością, im na więcéj w nich analogii natrafiła. Zważmy to jeszcze, iż to nie piérwszy jest przykład wpływu wschodniego na południe Europy. W złotym wieku wymowy rzymskiéj, zaliż nie słyszymy Cycerona obwiniającego często, jak on nazywa, *asianum genus*, rodzaj wymowy azyatycki, i użalającego się na to wysłowienie nadęte i kwieciste, które kaziło czystość attycyzmu rzymskiego? We dwa wieki potém, inni rzymscy pisarze, przyznawali temuż samemu wpływowi, utratę dobrego smaku i przesadę w stylu: *Ventosa ista et enormis loquacitas ex Asiâ nuper commigravit.* Była więc, to już stwierdzona rzecz doświadczeniem, iż ilekroć imaginacya azyatycka dotknęła się imaginacyi południowéj Europy, udzielała jéj pewnego przepychu i nieładu. Ludy hiszpańskie, przez swój klimat, przez swoję gorliwość religijną i życie rycerskie, szczególniéj, do przyjęcia takowego wpływu

byli usposobieni. Potém, jakże to można nawet i przypuścić sobie, ażeby nie obudziła się skwapliwa ochota do naśladowania genjuszu zwycięźców, tak świetnego, który Hiszpanią przepychem pomników swoich napełnił? Zaiste, od XIII, a może od XII nawet w., sztuki chrześciańskie na zachodzie, w architekturze nadewszystko dokazały. Ci, co się znają na rzeczy, zdumieni są tą potęgą genjuszu, który, w epoce, kiedy myśl jeszcze była skrępowana i ledwo na wyrażenia się znaleźć mogła formy w języku, budował *ideje* z kamieni, i układał, jeżeli się tak godzi powiedzieć, epopeje w postaci katedr.

Ale wcześniéj przed tym niedościgłym, wsławionym lotem genjuszu chrześciańskiego, objawiającym się w architekturze, genjusz arabski wzniósł był liczne już pomniki. Nie wchodzimy w to, jakie zarzuty można uczynić, pod względem sztuki, téj architekturze arabskiéj; ale jéj rozmaitość, jéj śmiałe i dziwaczne zacięcia, cały jéj przepych i okazałość, dzielnie imaginacyą podbitych lu-

dów musiały opanować; i Arabowie, pod pewnym względem, wydawać im się musieli, jako mistrze zostający pod opieką błogiego genjuszu wschodniego, który pomagał im do wzniesienia tylu przepysznych gmachów, marmurem i złotem jaśniejących. Bogactwa niezmierne, które Arabowie przynieśli z sobą do Hiszpanii, zaświadczone są przez dawne hiszpańskie kroniki: «Zabrali oni nam, zaiste naszę ziemię, tak się wyraża kronikarz; ale ją okryli złotem.» Biédnaż ta Hiszpania! któréj zwycięzcy jéj tyle nanieśli złota, która tyle złota znalazła w Ameryce, a która jest krajem, jedynym podobno na świecie, gdzie się złota najmniéj znajduje!

Wystawmy sobie, że w IX i X w., to jest w epoce, w któréj z pewnością żadnego pomnika sztuk umieścić nie możemy pomiędzy Chrześcianami, a nawet na początku XI w., kiedy życie feudalne tak było nieokrzesane i barbarzyńskie, kiedy możny i bogaty baron mieszkał w wieży warownéj grubémi murami, zaledwo przez ciasne okienka w górze oświeconéj, że, mówi, w tym czasie, Se-

willa, Toleda, Grenada pełne były przepysznych pałaców. Jeżeli te gmachy, w budowie swojéj wystawiały niektóre uchybienia i nieforemności, z drugiéj strony zdobiły je i upiękniały wszystkie wynalazki sztuki dowcipnéj, bliżéj do affektacyi niż do zaniedbania przystępującéj. Przepych oryentalny ożywiał je taką świetnością, jakiéj małe dwory europy chrześciańskiéj, a nawet sam dwór Karola W. nie mogły dać wyobrażenia. Życie feudalne obce było Arabóm; ale największy i najokazalszy przepych śrzednich wieków, ten orszak mnogich wassalów znajdował się w życiu arabskiém. Był to przepych patryarchalny zamiast barońskiego; było to zjednoczenie rodziny możnéj, pokolenia, zastępujące miejsce władzy pana i służebnictwa jego wassalów. Te przemożne pokolenia *Abenseragów*, *Zegrisów* dodawały przepychu wspaniałości tronów Grenady lub Kordu-by, a wśrzód uczt okazałych nadzwyczajnym blaskiem jaśniały. Kraj cały bogacił się nadzwyczajnie handlem, i umiejętnym przemysłem swoich zwycięzców.

Cóż zostawało czynić w pośrzód téj błogości okazałéj, która przerywana tylko bywała przez wojny przeciwko dawnym Hiszpanóm obozującym w swoich nędznych szczupłych warowniach, skąd mieli wyniść w czasie zwyciężcami?— Oto, prowadzić handel i doskonalić krzewiące się sztuki.

Znajduje się katalog sporządzony przez uczonego Yriaslé. Przebiegając go, zdumiéć się potrzeba nad nieprzerachowaną liczbą autorów zrodzonych w Hiszpanii, oraz nad niezmierném dzieł mnóztwem, o filozofii, poezyi, wymowie, sztukach przemysłowych, rolnictwie, które spoczywają zagrzebane w bibliotece eskuryalskiéj, a które, w swoim czasie dedykowane były królóm Grenady i Korduby. Wątpić nie można, ażeby, z tego źrzódła, nie rozlały się po Europie liczne wynalazki, które około XI, XII i XIII wieku zjawiają się nagle, bez pewnéj daty i bez imion swoich autorów. Ta sama niepewność zaświadcza o ich pochodzeniu; a to pochodzenie, właśnie tłumaczy; jakim sposobem ukazać się one mogły współcześnie, w roz-

maitych miejscach. Przetoż, wprowadzenie w użycie papieru, igły magnesowéj, wynalazek prochu, zdają się ze Wschodu przybyłe z Arabami, których rozległe panowanie, jednym końcem Chin, drugim Francyi sięgało.

Ale nie tego rodzaju wpływ zajmuje teraz naszę uwagę; nie roztrząsamy wprowadzenia wynalazków, tak do oznaczenia trudnego; ruch, nadewszystko dany imaginacyi, działanie na myśl poetycką, na rozwijanie się nauk w Europie są wyłącznym przedmiotem naszéj tu uwagi. Pod tym względem, znajdują się fakta w obfitości. W braku, niepodobnéj dla nas, nauki oryginałów, możemy pozgromadzać anegdoty rozsiane po śrzednich wiekach, które o rzeczonym wpływie zaświadczają. W X w., Gerbert, ten mąż prawdziwie uczony, po naukach klasztornych odbytych w *Aurillac*, pragnąc rozszérzyć okrąg swoich wiadomości, zagłębiając się w umiejętnościach wschodnich, udał się, w tym celu do Toledy. Tam przez trzy lata uczył się matematyki, astrologii wieszczbiarskiéj i ma-

gii, pod mistrzami arabskimi. Za powrotem z téj uczonéj pielgrzymki, został przełożonym w Bobio, w monasterze średniego wieku, który najwiecéj dawnych rękopismów przechował: ztamtąd wzięty został na nauczyciela syna Hugona Capet'a, potém biskupstwo w *Reims* otrzymał, zkąd przeniósł się do Cesarza niemieckiego, który go mianował biskupem w Rawennie, a w końcu Papieżem, pod imieniem Sylwestra II. Owoż Papież wyszły ze szkoły arabskiéj!

To jeszcze nie wszystko: czytajmy kroniki owych czasów i opowiadania najpoważniejszych autorów, *Speculum Historiale* Wincentego de Beauvais, nauczyciela świętego Ludwika, znajdziemy tam, pod tym względem, historyą, w któréj się cały wpływ arabski wydaje, i która otacza pewnym gatunkiem zasłony czarnoxięskiéj tajemniczą osobę Gerbert'a. Tam powiedziano, że, kiedy już został Papieżem i trzymał w Rzymie klucze świętego Piotra, posiadał zawsze dziwne swoje tajemnice, których się w Hiszpanii, od mędrców wschodnich nau-

czył. Jednego razu, miał on odkryć, wśrzód ruin rzymskich posąg miedziany, nieoszacowanéj roboty, którego palec ukaziciel obrócony był na Wschód; zbliżył się on do tego posągu i dotknął jego; posąg trącony roztopił się uwalniając przejście. Gerbert zstąpił do podziemia tysiącem lamp oświeconego, gdzie przebiegał rozległe sale jaśniejące światłem i napełnione posągami złotémi i marmurowémi, mającémi na głowach korony sadzone dyamentami. Niewiadomo, co Gerbert czyli Sylwester II, z témi bogactwami uczynił.

Powrócił on stamtąd do siebie i wkrótce umarł! Śmierć ta jest zaćmiona opowiadaniem oryginalném, połączoném z pewnym rodzajem trwogi czarnoxięzkiéj. Kronikarz zdaje się mniemać, że władza nadprzyrodzona, którą ten Papież posiadał nabytą z umiejętności wschodnich, obróciła się przeciwko niemu samemu.

Cóż to wszystko znaczy? — Nic więcéj tylko powieść arabską, ułamek z tysiąca i jednéj nocy spojony naturalnie, przez imagi-

nacyą współczesną, z pamiątką tego człowieka, który uczył się w Toledzie cudów sztuki wschodniéj. Legenda ta średnich wieków, świadczy o wrażeniu powieści oryentalnych na ówczesne umysły Francuzów i Włochów. Mnisi nieprzyjaciele Gerbert'a, którzy w XI wieku opowiadali tę historyą, nie umiejąc języka arabskiego, pod natchnieniem jego genjuszu roili; nie znali oni, zaiste, prawdziwego źrzódła téj powieści tajemniczéj ścigającéj Gerbert'a Papieża, po odbytych naukach pod astrologami muzułmańskimi. Takim to sposobem niezmierna liczba idei rozsiewa się bezimiennie po świecie, niewiadomi są ich prawdziwi autorowie, wpływ atoli jest potężny i dzielny.

Nie masz przeto najmniejszéj wątpliwości, że ta cywilizacya arabska, któréj tradycye znajdują się rozproszone po historyi anegdotycznéj niektórych znakomitych ludzi śrzednich wieków, działała szczególniejszym sposobem na ludy najbliżéj Hiszpanii położone. Prowancya i Katalonia, w nieprzerwanych stosunkach z sobą zostawały; rycerze pro-

wanccy odwiedzali dwór hrabiów Saragossy. Przez lat sześćdziesiąt, jedenże dóm, w obu krajach panował. Rycerze arabscy, według świadectwa kronik, gościli na dworach książąt chrześcjańskich, w Hiszpanii, Sycylii. Niektórzy z pomiędzy nich, na wzór Trubadurów, poetami i wojownikami razem byli. Posiadali oni języki Chrześcjan południowych; i nieraz śpiéw zmieszanych dyalektów rybaka z *Kalkanassor* ponawiał się w pałacu króla hiszpańskiego, przed zgromadzonémi rycerzami i damami.

Jaką była wtenczas ta poezya arabska?— Zalotną, namiętną, jak strony wschodnie, wojowniczą, jak Iślamizm przy swojém nastaniu; nie zapuszczała się ona w długie powieści; bo była niecierpliwą. Objawiała się w natchnieniu lirycznêm. *Gazella* i *Kassida* były jéj ulubionémi formami. Nazwisko *Gazelli* tę poezyą szykowną, chyżą, zwinną i pełną powabów; forma ta jest najpodobniejsza do pieśni miłośnych prowanckich.

Nie znajdziesz poematów dramatycznych u Arabów, genjusz ich całkowicie jest powie-

ściowy i zamiłowany w cudowności; ale ich poezya wystawia niektóre wzory rozmowy albo sprzeczki: pomiędzy poetą i nieszczęśliwym kochankiem, pomiędzy dwoma współubiegającymi się poetami: to właśnie co się w *Teuson'ach* prowanckich zawiéra.

Inny znowu piérwiastek poezyi nowoczesnéj, rym, jest pochodzenia wschodniego. Nie wiémy, zali się rym znajduje w poezyi hebrajskiéj. Święty Hieronim, który się nauczył hebrajszczyzny w Betlejem, gdzie przekładał księgi święte, utrzymywał, iż w nich odkrył hexametr łaciński, a niewskazał żadnego charakteru miary wiérszowéj hebrajskiéj. Łatwo jest pojąć dla czego podobne pytanie zostało nierozstrzygnione, względem języka, którego pronuncyacya zaginęła i w którego pisaniu samogłoski są odcięte. Tymczasem Wolter, który niejest najznakomitszą powagą, w tym względzie, twierdzi z pewnością, że wiérsze hebrajskie są rymowane. Przytacza on na dowód *rabina*, którego był przybrał sobie za nauczyciela hebrajszczyzny, a który mu w texcie ksiąg świę-

tych, dwa wiérsze rymujące z sobą miał pokazać.

Co się tycze poezyi arabskiéj, rzecz ta w niéj najmniejszéj wątpliwości nie podpada. Oryentaliści twierdzą, iż największa część wiérszy arabskich, jeżeli nie wszystkie, jest rymowana; że ten rym niekiedy jest tylko assonancyą; a często bardzo jest pełny, ponowiony, przeplatany, rozdzielony przez echo; i że poezya arabska, tak śmiała w swoich obrazach, tak pełna uniesienia, tak niestateczna i wykwintna, jest w szczególniejszy sposób uczona, symetryczna, artystowska co do swojéj formy.

Taki jest podobnież charakter poezyi prowanckiéj. Znajdujemy w niéj całą sztukę przeplatania rymów, całą umiejętność metryczną, wszelkie wyrachowanie współ-dźwięków biegle z sobą pomięszanych, wszystkie prawidła najzawilsze i najtrudniejsze, jakie tylko można sobie przepisać dla rozmnożenia wrażeń harmonii. Sztuka uczona i biegła poetów nowoczesnych ustąpić musi sposobóm metrycznym i sztucznemu stylowi używane-

mu, — przez kogo? — Przez wojaka, przez Bertrama de Born. Dziwna jest widzieć tę naturę tak twardą, żywą i niezachwianą, naginającą się i skurczoną w formach najsymetryczniejszéj wersyfikacyi. Wyobrażam sobie, że pienia hiszpańskie i arabskie, mogły przez muzykę nawet samę, podać wzór téj poezyi prowanckiéj, tak niewolniczo metrami obwarowanéj.

Tymczasem znajduje się inny początek, podobny do prawdy, nowoczesnego rymu. Uważano to sprawiedliwie, jak współ-dźwięki są dawne, w poezyi łacińskiéj. Przypomni sobie może nie jeden, te wiérsze cytowane przez Cycerona:

Haec omnia vidi inflammari,
Primo vi vitum evitari,
Aras sanguine foedari.

Podobne powtarzania jednostajnych zakończeń, wystawują niewątpliwie rachubę metryczną. Nakoniec, w całym ciągu śrzednich wieków, rym się nawija zawsze, przez samę ciemnotę i nieokrzesanie poetów.

W X i XI w., znajduje się wielka liczba

wiérszy łacińskich rymowanych; ale rymy te zdają się być naśladowaniem poezyi pospolitéj. Pienia kościelne w języku łacińskim, uświęciły ten zwyczaj. Assonancye i współdźwięki podwojone, niekiedy w nich nadzwyczajny i uroczysty majestat przybiérają:

Dies irae, dies illa,
Solvet seclum in favillâ,
Teste David cum Sybilla.

Nie masz najmniejszéj wątpliwości, że, kiedy powtarzanie częste syllab jednostajnych utrzymane było, przez powolność majestatyczną śpiéwu gregoryańskiego, przeważny wpływ na duszę słuchających wywierać koniecznie musiało. I kiedy poeta nowoczesny, Goethe, tego śpiéwu za śrzodek użył dramatyczny, kiedy go wprowadził jako narzędzie trwogi, przerażenia i zgryzoty, która zakłóca i mięsza imaginacyą młodéj niewiasty, czuł on dostatecznie, ile dźwięk jednostajny, tych końcówek groźnych do wzruszenia religijnego przyczynia.

Teraz zaprobujmy okazać, albo raczéj napomknąć w przykładzie, charakter téj poezyi

arabskiéj, takiéj jak ją Hiszpania, w X w., poznała. Weźmy dosłowne tłumaczenie łacińskie textu arabskiego i przełożmy je wiernie. Nie wybiérajmy w poetach najdawniejszych i najbardziéj wsławionych. Nie; albowiem, cywilizacyą poetyczną Arabii hiszpańskiéj, jeżli się godzi tak powiedzieć, okazać tu chcemy. Ona to wpływ swój okazała na dwory Hiszpanii i Gallii południowéj. Weźmiemy opisanie pałacu jednego z królów maurytańskich. Ten przepych uroczystości, te bogactwa i zamożność oryentalna, które się udzielały poezyi, okażą wam się zupełnie, w podobnym przykładzie. Wiérsze te napisane były przez jednego poetę dworzanina, na cześć *Al-Mansura*, to jest: *Zwyciężcy*. Al-Mansur był Kalifem Korduby, i jednym z tych panujących Maurów, którzy się najwięcéj w Hiszpanii naukami i sztukami opiekowali.

»Jakże jest piękny pałac, który ty napełniasz, a którego wielkość przez twoję chwałę jest wsławiona!

»Ten pałac! gdybyś ty dotknął promieniem

jego światłości oczu ślepego, wróciłby się on, z przywróconym wzrokiem do domu!

»Powiew wiatru, w tym pałacu, ze źrzódła żywota wynika, i kości umarłych mógłby ożywić.

»Daje on zapominać o napoju rannym, i o głosie pięknych śpiéwaczek. Wysokość jego przewyższa *Cawarnan* i *Sedir*. Żeby go wybudować napróżnoby pracowali ci Persowie starożytni, którzy wyniosłe pomniki dźwignęli. Wiele wieków przeszło po nad Grekami; a nie zbudowali oni, dla swoich królów mieszkania podobnego, lub też mogącego się z nim porównać.

«O królu! ty nam raj przypominasz, kiedy nam okazujesz te sale niezmierne ze wzniosłémi sklepieniami. Na ten widok wierni pomnażają swoje cnotliwe czyny, spodziewając się ogrodów rajskich, i szal jedwabnych. Grzesznicy prostują swoje błędne ścieszki i za pokutę pełnią cnotliwe czyny.

»Jest to nowe niebo, pomiędzy siedmią niebami, które może pogardzać blaskiem księżyca w pełni; albowiem ogląda wschodzącą

gwiazdę *Mansura*. Zdaje mi się, iż marzę w raju, kiedy widzę, w tym pałacu okazałość dworu twojego. Kiedy niewolnicy otwiérają jego podwoje, zdaje się, że obrot zawias ogłasza pozdrowienie i szczęśliwe przybycie tym, którzy twojéj łaskawości wzywają. Lwy żują ogniwa łańcuchów utrzymujących te podwoje i w paszczękach swoich wymrukują: Bóg jest wielki! Siedzą oni przykurczeni, ale gotowi na pożarcie każdego, kto się niewezwany do tych progów przybliża.

»Myśl wolna hamulca, wylatuje, chce dosięgnąć takiéj wielkości, i przytłoczona swojém niedołęztwem upada.

»Marmur biały wyścielający dziedzińce, zdaje się być lekką tkaniną, mozaiką z pereł świetnych. Rzekłbyś, iż ziemia jest z ambry; tak słodką wyziéwa z siebie wonię! Kiedy się dzień kończy, pałac ten może jego zastąpić i na początku nocy światłość wyprowadzić.» (Następuje opisanie fontanny.)

Śmiercią téj poezyi, jest groźba sroga, która się z dźwiękami jéj harmonijnémi jednoczy. Owoż dla czego cywilizacya arabska

nasienie zgubne w łonie swojém nosiła: niewolniczy początek mięsza się w niéj z uniesieniami imaginacyi.

Wreszcie, niechaj czytelnik rozważy sobie w myśli, ile, świetność i blask wyrażeń oryginalnych, znajomość miary wiérszowéj, nie dające się wyrazić w innym języku alluzye, nadają uroku téj poezyi. — Pani de Staël, obdarzona umysłem tak wyniosłym i przenikliwym, wyznaje, iż imaginacya, działając przez harmonią, wywierała na nię wpływ tak mocny, że tych wyrazów: *Les orangers de Grenade* i *Les citroniers des rois maures*, bez najżywszego wzruszenia słyszeć nie mogła. Geometra zapytałby się: co to wszystko dowodzi? — Ale jeżeli urok nieoznaczony, przywiązany jest do melodyi pewnych dźwięków; ileż taka melodya, jeżeli jest ciągła i urozmaicona razem musi uroku i powabu w sobie zawierać!

Charakterem najczęściéj natrafianym w poezyi arabskiéj, który się z niéj do romańskiéj przeniósł, jest allegorya. Powiedziano, że allegorya jest wybiegiem bojaźni, i że wła-

śnie, dla tego samego na Wschodzie musiała się urodzić. Nie twierdzimy ani zaprzeczamy tego; ale u Arabów hiszpańskich allegorya była równie dowcipną jak śmiałą. Wymieniają jéj jeden przykład, który zasługuje na to, ażeby go tu przytoczyć.

»Kalif Korduby chciał rozprzestrzeniać swoje ogrody, i zbudować pawillon na szczupłém polu, które do nich przytykało, a było jedyną własnością pewnéj ubogiéj wdowy. Ta nie pozwalała. Wtenczas Kalif czy jego minister opanował ten kawał gruntu przemocą, na którym najokazalszy gmach, lejący się od złota i marmurów, wzniesiono. Biédna wdowa udała się ze skargą do Kadego Korduby. Sprawa była trudną: Kady człowiek poczciwy, siadł na osła, i udał się do Kalifa, w téj saméj godzinie, kiedy ten otoczony całym swoim dworem, znajdował się w pawillonie. Kady miał z sobą wór wielki. Upadłszy piérwéj na twarz przed Kalifem, prosił go o pozwolenie napełnienia worka ziemią ogrodową. Kalif, który był dobry, chętnie zgodził się na to. Skoro tylko wór pełny był ziemi, Kady

z tą poufałością oryentalną, która zgodnie z niewolnictwem u nich postępuje, rzekł do Kalifa: —»To jeszcze nie wszystko; dla dokonania twojego dzieła, potrzeba, ażebyś mi pomógł włożyć ten ciężar na osła.» Kalif zaprobował i znalazł, że to brzemie przewyższało nieskończenie jego siły. —»Monarcho! »rzekł z powagą Kady, jeżeli ten worek, któ»ry zawiéra w sobie drobną cząstkę ziemi, »wydał się tobie tak ciężkim, a jakże zdo»łasz, przed oblicze Boga ponieść cały ten »grunt, któryś sobie przywłaszczył.» Allegorya ta wzruszyła Kalifa, który oddał natychmiast przywłaszczone pole ubogiéj wdowie zostawując jéj pawillon ze wszystkiémi w nim bogactwami.

Nic nie masz pospolitszego w poezyi prowanckiéj nad allegoryą; tylko że jest ona tu igraszką dowcipu zamiast coby miała być akcyą.

Znajduje się jeszcze jeden charakter właściwy arabskiéj imaginacyi, który się także w poezyi prowanckiéj wydaje. A tym jest wprowadzenie pewnych jestestw tajemni-

czych. Nie mówimy tu o wróżkach tak sławnych w zachodniéj Francyi, które mogły tam mieć i swój początek. Ale znajdujemy w poezyach romańskich, te wymysły arabskie zwierząt magicznych, cudownych papug i t. p., które w opowiadaniu działają.

Inne podobieństwo zdaje się raczéj z saméj natury rzeczy wynikać, nie zaś być naśladowaniem. Poezya Trubadurów, którą pospolicie za taką uważają, nie raz kreśliła uczucia poważne i wzruszające. Jednym z jéj kształtów jest tren pogrzebowy nad stratą wojownika. To, bez wątpliwości do wszystkich ludów wojowniczych należy.

Przetoż i nie przypuszczamy, ażeby liczne pienia poetów arabskich, na śmierć ich wojowników, miały Trubadurom prowanckim służyć za natchnienie. Zachodzi jednakże podobieństwo uderzające pomiędzy niektóremi z tych poezyj u obojga ludów.

Lecz nie zatrzymując się nad témi porównaniami, gdzie największe nawet podobieństwo, naśladowania bynajmniéj nie dowodzi, ograniczymy się jednym tylko przykładem,

który zbija przesąd pospolity, względem poezyi Trubadurów. Przypuszczają zwykle, że ona jest płocha i rozwiozła, albo przynajmniéj satyryczna. Ukażémy ją wzruszającą, rzewliwą i religijną, w trenie pogrzebowym.

Ten wojownik nieunoszony, ten Bertram de Born, któregośmy hasła wojenne słyszeli tak nienawistne tak nieubłagane, wyraził swoję boleść nad stratą młodego książęcia Henryka, którego przeciwko własnemu ojcu sam uzbroił; przedsięwzięcie występne, za jakie domierzając sprawiedliwości, w XIII wieku, Dante chciał go ukarać katuszą allegoryczną, zadaną mu w piekle. Owoż, w jaki sposób, wojownik Trubadur, opłakiwał stratę przyjaciela, w którym był zbyteczną ambicyą obudził.

»Gdyby wszystkie żałoby, i płacze, i żale, i boleści, i straty, i klęski, jakie tylko, w tym smutnym wieku widziano, razem się z sobą połączyły, zdawałyby się nazbyt lekkiémi, w porównaniu ze śmiercią młodego książęcia angielskiego, którego strata zasmuca zasługę

i honór i okrywa ciemną zasłoną świat pozbawiony swojéj uciechy, a pełen zagniewania i smutku.

»W smutku i boleści pozostali waleczni żołnierze, i Trubadorowie i trefnisie uprzejmi; znaleźli oni w *śmierci* śmiertelnego wroga; albowiem wydarła ona im młodego króla angielskiego, przy którym najhojniejszy i najszczodrobliwszy wydawał się łakomym. Nigdy, wierzajcie mi, nie wystarczy na takie nieszczęście, dosyć łez i smutków.

»Sroga śmierci, źrzódło utrapień, możesz się pochlubić; albowiem wydarłaś światu najlepszego rycerza, jaki się kiedykolwiek na nim znajdował! Nie masz żadnéj zalety, jakaby się nie znajdowała w młodym królu angielskim; i byłoby nierównie lepiéj, gdyby się tak podobało Bogu, żeby on żył raczéj aniżeli pewni zazdrośnicy i oszczercy, którzy nieszczęścia tylko i smutku walecznym przyczyniają.

»Z tego świata nikczemnego i burzliwego, jeżeli się miłość wyniesie, poczytam radość jego za kłamliwą; bo nic tu nie masz, coby

się nie przemieniło w cierpienie. Codziennie to postrzeżemy, że dziś nie warte jest dnia wczorajszego. Niechaj każdy przypatrzy się sobie samemu, w młodym królu angielskim, który, pomiędzy wszystkimi rycerzami na całym świecie był najwaleczniejszy. Teraz nie masz jego serca pełnego uprzejméj ku wszystkim miłości, a ku nieszczęściu naszemu pozostało zrażenie i gorzki smutek.

»Do tego, który, dla naszych utrapień raczył przyjść na świat, i nas wydźwignął z ruiny, i poniósł śmierć dla naszego zbawienia, jako do Pana łaskawego i sprawiedliwego, wołajmy o ratunek i niechaj przebaczy młodemu królowi angielskiemu jeżeli taka jest jego święta wola, i wprowadzi go do przybytku ze szlachetnymi towarzyszami, tam gdzie nigdy ani smutek, ani żałoba nie postanie.»

Nic nie masz bieglejszego w swoich zwrotach, jak ta poezya, którą uniesienie i zapał boleści ożywia; nic uczeńszego, nad jéj formę i rozporządzenie rymów. Wiémy, że to wszystko w przekładzie znika; ale pozostaje

uderzająca sprzeczność, pomiędzy taką mową a twardym i nieugiętym charakterem wojownika.

Terazże, na miejscu prozy, postawmy dźwięki wymierzone, i tkliwe, ten język melodyjny, pełny nienaśladowczéj harmonii, właściwéj dyalektóm południowym, muzykę pełną wyrazu i prostoty, głos męzki wojownika — poety, rozrzewniony przez boleść, a znajdziemy cały niepojęty urok téj poezyi, i odgadniemy jéj potęgę.

WILLIAM O'CONNOR

OSTATNI ZE SWOJÉJ RODZINY.

Dziedzic jedyny z rodu O'connor'ów najznakomitszego w całéj Irlandyi, przed kilką laty mieszkał w zamku swoich przodków, którego wieże gotyckie i mury poczerniałe biegiem czasu, świadczyły o dawnéj zacności właścicielów. Zawcześnie pozbawiony starań ojcowskich, młody William O'connor, wzrosł pod troskliwém macierzyńskiém okiem. Nigdy syn żaden nie był czuléj kochany. Nie dla tego ażeby William pozbawiony był wad wszelkich; ależ z témi wadami, tyle się świetnych łączyło przymiotów! Był on otwarty

prawy; szlachetność jego serca żadnych granic nie znała. Wady jego wreszcie, wynikały z jego wieku: było to roztrzepanie, umysł chciwy przygód, który się dobrowolnie na niebezpieczeństwa narażał.

Dzień, w którym William doszedł pełnoletności, był dniem uroczystego, w zamku, obchodu. W tym dniu, ochocze dźwięki muzyki słyszeć się dały w około zamku, a wkrótce ujrzano zbiérające się gromady liczne złożone z sąsiednich wieśniaków. Wieśniacy ci, nieśli w ręku ogromne bukiety; wstąpili do zamku przez wielką bramę, i młodego lorda, wesołémi okrzykami, pozdrowili. Te oznaki radości były żywe i szczére; pociecha rozpromieniała wszystkie twarze; William albowiem był powszechnie kochany; wszelkie przygotowania do przyjęcia gości były poczynione. Wśrzód dziedzińca widzieć było mnóztwo beczek piwa, a w ogrodzie zaś pozastawowano wiele długich stołów, mięsiwem i owocami okrytych. Wnet nieprzeliczeni goście zebrani na zamku stanęli w koło; a okrzyki huczne: «Niech żyje O'con-

nor! niech żyje lord zamku!» z większym się i bardziéj natężonym zapałem rozpoczęły. Okrzyki te zwiastowały przybycie bohatéra uroczystości: wszedł on we śrzodek koła, w ręku z puharem, ścisnął za rękę każdego z gości, i wypił za zdrowie wszystkich; potém, na czele całego grona, udał się na miejsce przysposobionéj biesiady. Bankiet godny był dnia tego, a po toastach ochoczych spełnionych za zdrowie młodego dziedzica, orkiestra oznajmiła otwarcie balu, na którym wszystkie piękności przyległych wiosek, ze swojémi wdziękami i z obrotnością szykownych kibici wystąpiły.

Kochałem Williama, miałem dla niego przychylność braterską. Nie wiém, czyli mną wtenczas powodowało uczucie jakieś parcyalności; ale widząc uprzejmość i słodycz, z jakiémi on przyjmował swoich gości, tego byłem zdania, iż nigdy młodzieniec żaden więcéj wdzięku i dostojeństwa nie okazał. Postawa jego pełna była wykształconéj szykowności, a w twarzy jego wydawało się cóś hiszpańskiego przydającego więcéj blasku i

życia, do szczérości jaką się odznaczała. Całość jego fizyognomii tém bardziéj mię jeszcze w tenczas uderzała, że go widziałem w rozmowie z człowiekiem czterdziesto-letnim prawie, którego gesta były gminne i odrażające. Kto był ten człowiek? — Nigdym go jeszcze nie widział w towarzystwie O'connor'a, chociaż dobrze znałem wszystkich jego przyjaciół. Siedząc na stołku, oparłszy grzbiet niedbale o ścianę, zdawał się poglądać z pogardą na ochoczych wieśniaków, tańcujących około niego. Ubiór jego wytworny okazywał pretensyą wykwintnego eleganta, a twarz jego ocieniały ogromne faworyty i para wąsów troskliwie wypomadowanych, które mu aż na halsztuch spadały. Zdumiony taką sprzecznością, zdumiony widokiem Williama rozprawiającego długo z takim rozmowcą, oddaliłem się od lady O'connor, która przy pomocy Anny, narzeczonéj swojego syna, czestowała gości, a przystąpiłem bliżéj do mojego młodego przyjaciela. Skoro tylko mię ujrzał, zdawał się być zmitrężony, i ukwapliwie opuścił człowieka, z którym dotąd roz-

mawiał. Przybrał potém uśmiéchającą się minę i rzekł do mnie, w sposób tajemniczy, że ten przyjaciel jego był osobą nader ważną, ażeby, imie jego, wśrzód tak ochoczéj biesiady powtórzyć się godziło; potém ścisnąwszy mię za rękę, wmięszał się do gromady taneczników, i tak mię troskliwie przez cały wieczór unikał, żem się nie mógł doń, ani jednego razu, przybliżyć.

Ta odpowiedź, a nade wszystko ta jakaś tajemniczość trzymały mię noc całą w rozbudzeniu; i nazajutrz bardzom się wcześnie udał do zamku O'connor'a. William sposobił się do wiejskiéj przejazdżki. Skoro tylko mię ujrzał, zaraz mi powiedział; iż matka jego, którą utrudzenie wczorajsze trzymało jeszcze w łóżku, potrzebowała dłuższego, niż zwykle spoczynku, zaprosił przeto mię z sobą do przejazdżki i do korzystania z pięknego poranku. Zgodziłem się. Z razu rozmowa nasza toczyła się o rzeczach obojętnych; potém przystąpiwszy do przedmiotu, który mię, tak rano na zamek sprowadził, wiedodziałem się, że osoba dla niezwykłości

rysów swoich tak mię obchodząca była szulerem i głośnym duellistą. Człowiek ten, który żyje dotąd jeszcze, a którego ja Fitz-Gerald'em nazwę, przez wzgląd na jego familią znaną w całéj Irlandyi, przez swoje niecne postępki, więcéj dwudziestu rodzin pogrążył w rospaczy. Słysząc to nazwisko, nie mogłem się otrząsnąć z uczucia zgrozy, i natarczywie zganiłem przyjaciela mojego, iż zabrał tę znajomość. — Reputacya jego jest mi znajomą, odpowiedział z uśmiéchem, ale i to wiém, iż Fitz-Gerald lepszy jest nad nią. Bez wątpienia. jest on żywy, porywczy, ale to wszystko bynajmniéj nie przeszkadza, żeby nie miał być wyśmienitym człowiekiem. Zważ tylko mój kochany Jerzy, nie potrzeba zbytecznie ufać pozorom, i wierzaj mi, jeżelibyś się bliżéj przypatrzył wszystkim okolicznościom, które tak opłakaną Fitz-Gerald'owi sławność zjednały, sambyś chętnie uznał, że wina nie była zjego strony.

—Dałby to Bóg! mówiłem w sobie.

—Zresztą, nie szukałem ja przyjaźni z Fitz-

Gerald'em, przypadek sam jedynie znajomość mi jego nastręczył. Zabrałem ją pod czas mojéj ostatniéj do Francyi i podróży; tamemļgo napotkał i nie mogłem się zbyć nadskakiwań, z jakiémi do mnie się zalecał. Odtąd już ciągle zażyłość jakaś, pomiędzy nami zachodziła.

Tegoż samego dnia jeszcze i znowu późniéj, Fitz-Gerald był z wizytą na zamku. Wszedł, zbliżył się do mojego przyjaciela z uprzejmą grzecznością, ścisnął go serdecznie za rękę, i po długiéj rozmowie, na wieczerzę do siebie zaprosił. «Zgromadziłem kilka znajomości paryzkich, rzekł; pójdź, przepędzimy wieczorek przyjemnie:» potém, obracając się do mnie, oświadczył chęć, ażebym raczył towarzyszyć temu, którego on najlepszym przyjacielem swoim nazywał. Odmówiłem; ale się przyznam, żem uczuł gwałtwną rewolucyą, która się we mnie odbyła: ten którego obchodzenie się wydało mi się, z razu, tak gminne, a którego dumna wzgardliwość tak mię do żywego ubodła, nie zdawał mi się teraz tym samym czło-

wiekiem. Powtórne przypatrzenie mu się, piérwsze moje wrażenie rozproszyło. Twarz, zaiste, Fitz-Gerald'a nie straciła nic z tego pospolitego charakteru, który stanowił cechę jéj główną; ubiór jego był również, jak i piérwéj, pełen wytwornéj przesady, ale się w jego obejściu powab niejakiś wydawał; grzéczność jego dobry gust odznaczał; tłumaczył się pięknie, a rozmowa jego w dowcip obfitowała, pełno w niéj było interessujących zwrotów, anegdot oryginalnych, które, ze sposobu, jakim je opowiadał, nowego powabu nabiérały.

Nazajutrz, kiedym powrócił na zamek, wszystkie moje trwogi były już rozproszone; serce moje uspokojone biło swobodnie, i spodziewałem się znaleźć mojego młodego przyjaciela w témże samém usposobieniu umysłu, w jakiém go porzuciłem. Ale, zwodnicza nadzieja! Chwila, którejem się lękał, nadeszła. Kiedym wszedł, O'connor siedząc przy kominie, z głową opartą na dłoni, wydał mi się być w przykrych pogrążony rozmyślaniach; przy nim znajdował się stół z za-

stawioném śniadaniem, którego on dotąd jeszcze był nie tknął; daléj, na małéj podstawce, postrzegłem papier, pióra, atrament i zapaloną świécę. Wszedłem tak, że mię nie słyszał i przybliżyłem się do niego; trzymał w ręku urywek listu, który z uwagą odczytywał. —Ach! to ty Jerzy, przemówił do mnie, skoro tylko mię postrzegł, witam cię; istotnie, bardzoś przybył w porę, byłeś mi właśnie teraz potrzebny; albowiem wdałem się w sprawkę, z któréj się wywikłać, bez pomocy przyjaciela, nie potrafię.

—Cóż ci się takiego zdarzyło, Williámie?

—Sam jeszcze nie wiém z pewnością, odpowiedział mi z miną roztargnioną. To tylko mogę powiedzieć, iż przy grze dosyć żywéj, powiedziałem kilka słów dotkliwych Fitz-Gerald'owi; nie byłem sam przy sobie, wino mi w głowie przewróciło; Fitz-Gerald przeciwnie, całą swoję krew zimną zachował: odpowiedział mi w wyrazach ostrych, które mię do żywego obraziły.

Odetchnąłem; albowiem, według tego com posłyszał, wydało mi się że O'connor był

obrażony, przewidywałem przeto możność uniknienia pojedynku, któregom się najbardziéj lękał. Wtenczas, niepostrzegając jego roztargnień, namawiałem go, ażeby nie zważał bynajmniéj na słowa Fitz-Gerald'a: — «Po obiedzie, wśrzód którego mało dawano baczenia na trzeźwość, wszystkie się podobne rzeczy zapominają i znajdują słuszną wymówkę: wreszcie, dodałem, iż gdybyś miał zajście z Fitz-Geraldem, możnaby dwadzieścia stawić przeciwko jednemu, że zajście to zgubnémby się dla ciebie stało.»

Wyrazy te jego ocuciły.

— Dla tegoż to właśnie, odpowiedział mi podnioślejszym głosem, chciałem, ażeby cienia nawet na mnie porozumień nie pozostało; Fitz-Gerald byłby jednym z ostatnich, któremubym ja w sprawie honoru miał ustąpić: Jerzy, wiész iż jestem dziedzicem imienia bez skazy; ale patrzaj, mówił ukazując mi urywek listu trzymanego w ręku, czytaj, oto com do niego napisal.

Bilet który mi oddał, był w tych wyrazach:

»Mam honor pozdrowić P. Fitz-Geral-
»d'a i zapytać się u niego, azali wyrazy, ja-
»kich względem mnie użył wczorajszego wie-
»czora, wymierzone były z chęcią mojéj o-
»brazy?

Jestem i t. d.

William O'CONNOR.»

Cóż tedy, mówił znowu, nad czém się tak zamyśliłeś Jerzy?

Myśliłem ja właśnie, jakimby sposobem można tę korrespondencyą zatrzymać;, ale już przed półgodziną wyprawiona została; potrzeba więc było przygotować się na wszystko i czekać spokojnie.

Doświadczyłem najdotkliwszych udręczeń: znałem bowiem reputacyą Fitz-Gerald'a; wiedziałem, iż pyszny ze swojéj zręczności na pistolety, będzie szukał ukwapliwie najmniejszych powodów, ażeby tę tak straszliwą wziętość utrzymać, na któréj jego chwała i jego laury zależały. W moim przestrachu, spodziewałem się co chwila, usłyszeć tentent konia przynoszącego nam odpowiedź i widzieć wchodzącego posłańca z fatalném

wyzwaniem. Nakoniec sługa, który był wyprawiony z listem, wszedł do salonu, i oddał swojemu panu odpowiedź, która była w tych słowach:

»Żałuję bardzo, iż wyrazy, którém wy-
»mówił wczora wieczorem, zdały się uwła-
»czające P. O'connor'owi. Nie było by-
»najmniéj zamiarem moim obrażać jego; po-
»spieszam zastosować się do żądania wyrażo-
»nego w jego liście, i proszę wierzyć, żem
»nie zachował najmniejszéj urazy przeciwko
»niemu.

»Jestem i t. d.

Fitz-Gerald.»

To dobrze! bardzo dobrze! zawołał O'connor z uniesieniem: a widzisz mój kochany Jerzy, mówił daléj, stosując rzecz do dalszéj wczorajszéj rozmowy, że posądzania twoje, względem Fitz-Geralda były niesprawiedliwe.

Ścisnąłem go za rękę, i pytałem się, jakaby to była przyczyna, która ledwo się nie stała powodem do pojedynku, pomiędzy nimi. — On to, właściwie mówiąc, był isto-

tnie winien; było to z powodu wątpliwości jaka się grając w *ecarté* zdarzyła. O'connor, który już był przegrał znaczną summę, tłumaczył wątpliwość na swoję korzyść sposobem stanowczym, przeciwnik jego odpowiedział na to w wyrazach niepomiarkowanych; O'connor przeto opuścił salon z zamiarem domagania się nazajutrz explikacyi u Fitz-Gerald'a. — Ale dzięki niebu, zawołał uradowany, wszystko się już załatwiło; Fitz-Gerald znalazł się, jak przystoi na człowieka dobrze wychowanego. Słuchaj Jerzy, jeżeli chcesz, będziemy obchodzili szczęśliwe powodzenie téj sprawy spełniając po dwie lub trzy szklanice *sherry*.

To zaufanie bezpieczne miało zostać wkrótce srodze omylone. Spełnialiśmy ochoczo nasze szklanice, i kilka chwil tak zeszło na poufałém wynurzeniu się, kiedy lokaj wszedł, powiadając, iż jakaś osoba obca czeka na przedpokoju i chce mówić z jego panem.

— Prosić, zawoła rozweselony William, przybędzie nam jeszcze towarzysz uciechy.

Natychmiast ukazał się człowiek pięćdziesięcioletni; wzrost jego mniéj był niż mierny, twarz przepita, postawa i ruchy gminne w nim zwyczaje wydawały.

— Panowie, rzekł do nas, przepraszam za wolność wprowadzenia się tutaj, nie będąc piérwéj zarekomendowanym. Jestem kapitan M'Creagh, a przybywam powiedzieć parę słów P. O'connor'owi.

— Proszę siedzieć piérwéj, rzekł mu O'connor.

Ale niezważając na to zaproszenie, kapitan dobył list z pugillaressu i oddał go Wiliamowi.

Któż pojmie nasze zdziwienie? List ten był od Fitz-Geralda, który oświadcza O'connorowi: że jego ranniejszą korrespondencyą pokazał jednemu ze swoich przyjaciół, a ten znalazł ją uwłaczającą jego honorowi; domaga się przeto satysfakcyi. Pomięszanie moje i niespokojność były niezmierne; dwakroć przeczytałem ten list fatalny, nie mogąc pojąć prawdziwego w nim znaczenia; obróciłem się nakoniec do kapitana, któ-

regom widział uśmiéch, i zapytałem go, azali nie zaszła w tém jakaś pomyłka?

—Żadnéj, odpowiedział z krwią zimną: interes jest jasny; przyjaciel mój Fitz-Gerald jest znieważony: domaga się satysfakcyi. Mogęż się spodziewać P. O'connor że mi dasz odpowiedź?

Poradziłem O'connorowi, ażeby wyszedł z salonu i udaliśmy się do przyległego gabinetu. William wziął pióro i, na prośbę moję, napisał do Fitz-Geralda: iż odebrawszy explikacyą dostateczną, zupełnie czuł się zaspokojonym; co się tycze jego, nie miał żadnéj myśli obrażenia Fitz-Gerald'a, i przeto spodziewa się, iż ta cała sprawa na tym się punkcie zakończy. List ten został natachmiast oddany kapitanowi M'Creagh, który wnet się oddalił.

—To jest nic więcéj jak tylko pomyłka, rzekł O'connor; list mój wszystko naprawi. Powtarzam, com ci już powiedział, mój kochany Jerzy, Fitz-Gerald w gruncie jest człowiekiem wyśmienitym; tylko na szydercę cokolwiek zakrawa.

Biédny Williamie, jakżeś ty źle poznał Fitz-Geralda!

Wszelakoż, było coś tak nadzwyczajnego i niepojętego w téj sprawie, że jego bezpieczne zaufanie i mnie się udzieliło. Weszliśmy do salonu i znaleźliśmy tam lady O'connor, albo Panią zamku, jak ją okoliczni mieszkańcy nazywali. Anna, pokrewna i narzeczona Williama, znajdowała się tam także, z młodym O'Grady powinowatym rodziny O'Connorów. Anna przez swoję nadobność i wdzięki, mogła być porównana do tych rzadkich wzorów piękności, które nam włoscy malarze zostawili. Miała ona dla swojego narzeczonego najżywszą tkliwość; wychowana z nim razem nawykła go kochać, a związki małżeńskie, w dni kilka, miały z sobą ich połączyć. Powstała, przystąpiła ku nam, i prosiła Williama, ażeby jéj przy fortepianie akompaniował. William chętnie przyjął to zaproszenie, i wkrótce rozpoczęliśmy mały koncert. Potém nastąpiła rozmowa, z tą słodką poufałością, jaka się tylko wśrzód kochających osób znajduje. William

przy swojéj narzeczonéj i przy swojéj matce, odzyskał całą swoję wesołość; wtenczas, kiedy jego stara matka, poglądając nań z czułością uśmiéchała się do młodéj dziewicy, ta, od czasu do czasu, zwracała wejrzenie pełne czułości na swojego narzeczonego.

Godzina obiadowa zastała nas na tych rozmowach; i jużeśmy się zabiérali ku wyjściu do izby stołowéj, kiedy służący doniósł o powtórnych odwiedzinach i prosił O'connora, żeby się z posłańcem chciał zobaczyć. Po chwili sam wyszedłem. Niestety! trwogi się moje zjściły: William w obecności kapitana czytał list: który ten jemu oddał, a w którym przeciwnik stosował do niego epiteta najdotkliwiéj uwłaczające. Fitz-Gerald oświadczał, iż jeżeli O'connor będzie jeszcze wyszukiwał trudności, wtenczas rozgłosi wszędzie jego hańbę i nikczemność; i dodał, że posunie daléj jeszcze obelżywość, jeżeli mu odmówiona będzie satysfakcya, któréj ma prawo oczekiwać.

W czasie tego czytania, widziałem jak bladość śmiertelna pokryła twarz O'connor'a;

pojedynek go bynajmniéj nie przestraszał: trwoga bowiem nigdy do jego duszy wstępu nie miała. Ale że ustąpił moim nastawaniom; że okazał wahanie się i niepewność; że na list bezczelny Fitz-Gerald'a nie odpowiedział tonem wyniosłym; że mu nie oświadczył, iż się gotów był z nim spotkać wszędzie, gdzieby tylko sobie życzył; oto właśnie były wyobrażenia okrutne, o które się serce jego rozbijało! Poczytywał siebie za znieważonego, i w swojém poruszeniu żalił się na troskliwość, któréj dokładałem, ażeby go uspokoić. Wszelakoż, kiedym ukoił nieco jego pomięszanie, ułożyliśmy się, że mu będę służył za sekundanta w tym pojedynku; posługa, którąbym ze zgrozą odrzucił, w każdym innym przypadku, ale którą teraz przyjąłem na siebie ukwapliwie; albowiem spodziewałem się, przez moje zabiegi, sprawę tę jeszcze do pomyślnego końca doprowadzić. Rozmówiłem się z kapitanem M'Creagh podżegaczem tego pojedynku, i sekundantem Fitz-Gerald'a; mówiłem mu o sławności jakiéj w tym przedmiocie nabył

Fitz-Gerald, o przewadze i korzyści niezaprzeczonéj, jaką będzie miał w téj nierównéj bitwie, tudzież o nieszczęściu, jakieby z podobnego zwycięztwa wyniknąć mogło; ale te moje przełożenia przyjęte zostały z pogardą, i wnet nabyłem smutnego przekonania, że się ten pojedynek odprawić musi. Pozostawało mi tylko zrobić potrzebne rozporządzenia: ułożono się, że miejscem potyczki téj będzie pole położone na wpół drogi przedzielającéj zamek O'connora od rezydencyi Fitz-Geralda; że obadwaj przeciwnicy znajdą się na placu o piątéj godzinie zrana, kiedy piérwsze promienie jutrzeńki dozwolą walczącym widzieć siebie nawzajem, a Fitz-Gerald na niebezpieczeństwo najmniejsze nie będzie wystawiony; lękać się albowiem wypadało, ażeby wieśniacy uwiadomieni o tym pojedynku, nie stanęli w obronie tego, którego urodzenie i wzrost wpośrzód siebie oglądali. Było jeszcze ułożono, że pojedynek odbędzie się na pistolety: znając dobrze, na tę broń, zręczność Fitz-Gerald'a, chciałem się sprze-

ciwić kapitanowi, który wybór oręża swojéj stronie przywłaszczał; ale zarzuty moje były nadaremne; potrzeba się było poddać: trudność którą wprowadziłem, uprzątniona została przez Williama, który oświadczył, iż się będzie bił na pistolety.

Po tych smutnych przygotowaniach, szczérze chciałem opuścić zamek; ale William mię zatrzymał; drżał on bowiem na myśl samę zostania się jednemu z matką i swoją narzeczoną. Powróciliśmy do salonu; lady O'connor i Anna siedziały przy kominku; młody O'Grady czytał głośno romans nowy, wtenczas, kiedy lady O'connor i Anna haftowały worek, który skryły ukwapliwie, natychmiast, jakeśmy się tylko ukazali. Lady O'connor uśmiéchnęła się pogłądając na swojego syna; wezwała go i kazała usiąść przy sobie, a z dobrocią ciekawą wypytywała się, kto go taki tam potrzebował? Na to zapytanie, dreszcz przejął Williama; wszystkie członki jego drżały, tak, iż mniemałem przez chwilę, że nie dotrzyma sekretu: lecz dając inszy obrot rozmowie, i hamując swoje po-

mięszanie, potrafił oszukać matkę i z huczną wesołością wmięszał się do powszechnéj rozmowy. Wszelakoż oko najmniéj wprawne dośledziłoby bez wielkiéj trudności, że się coś niezwykłego z nim działo; twarz jego żywy okrył rumieniec; oczy jego blaskiem niezwyczajnym jaśniały: była to drażliwość gorączkowa. Kiedy Anna i lady O'connor chciały odejść, zatrzymał je, i pozostały w salonie dłużéj, niż się zwykle, przed udaniem się do swoich pokojów, bawiły. Tym czasem noc następowała; Anna też zrobiła uwagę, że ciotka jéj potrzebowała spoczynku, William zatém nie czynił więcéj trudności i pozwolił im odejść. Powstał, dopomógł matce swojéj dźwignąć się z krzesła, na którém siedziała, i z najżywszą czułością ją uściskał, potém ujął za rękę swoję narzeczoną, przycisnął do ust swoich z takiém uniesieniem, iż ta młoda osoba zadrżała; spojrzała na swojego narzeczonego, zátrzymała się przez chwilę, jak gdyby uczucie niedowierzania wstrząsnęło jéj sercem, a widząc wo-

czach jego żywe i mocne wzruszenie, pospieszyła za swoją ciotką.

Natychmiast O'connor uwiadomił, w krótkich słowach krewnego swojego O' Grady, o wszystkiém co zaszło; prosił go nawet, ażeby nam towarzyszył na plac pojedynku; zaproszenie to zostało przyjęte, a młodzian udał się do swojéj izby. Ja także poszedłem do mojéj; ale napróżno snu czekałem: myśli najsmutniejsze umysł mój oblegały; w niespokojności, jaka mną miotała, zrywałem się z łóżka i przechadzałem się po izbie wielkiémi krokami, po chwili potém, stawałem u otwartego okna w nadziei, że chłód nocny poruszenie moje i tę mimowolną drażliwość ukoi; ale milczenie głębokie, które naokoło mnie panowało, tudzież gęste obłoki tworzące zasłonę ciemną ponad moją głową, zamiast przechłodzenia krwi, bardziéj jeszcze myśli moje zasępiały. Rzuciłem się nakoniec, ubrany zupełnie na łóżko, a dając bieg wolny moim natarczywym trwogóm, czekałem hwili połączenia się z W illiamem.

Znalazłem go spiącym, z głową opartą na

dłoni; dwie świéce paliły się jeszcze na biórku, a na stronie mnóztwo papiérów, i listów leżało. Skoro tylko drzwi otwiérające się jego rozbudziły, powstał, i wyciągając ku mnie rękę, serdecznie dziękował za przysługę, którą, jak powiadał, mu wyrządzam, służąc za sekundanta. — Mój biédny Jerzy, powiedział, poglądając na mnie z interesem, ty się bardziéj zdajesz wzruszonym ode mnie. Nie lękaj się niczego, wyjdę ja szczęśliwie z tego trudnego położenia. Ale, jakby nie było, rzekł, postrzegając wzrok mój zasępiony, który zwracałem ku niemu; — nie prawdaż? tybyś sam nie chciał, ażeby znieważano twojego przyjaciela? Otoż właśnie toby mię spotkało; nie móglbym nigdzie pokazać oczu, albowiem znam ja Fitz-Gerald'a: rozgłaszałby on wszędzie, że ja jestem nikczemnikiem; wolę przeto raczéj stokroć umrzeć, aniżeli podobną hańbę wytrzymywać.

To mówiąc, wskazał palcem na papiér, który leżał przy dwóch listach, i rzekł do mnie:

— Z tych dwóch listów, jeden jest do mo-

jéj matki, drugi do Anny; nie ubliżaj im pocieszenia, jeżeli umrę; mów im zawsze, ile je kochałem. O moja biédna matko! zostawić ciebie samę jednę, cierpiącą, w chwili, kiedy najwięcéj potrzebujesz całéj czułości twojego syna!... To mówiąc, zakrył oczy, dla utajenia łez swoich, i ścisnął mię mocno za rękę.

W téj chwili, szelest lekki u drzwi dał się słyszeć; nadstawiliśmy bacznego ucha i ten szelest ustał; zaczęliśmy więc czynić smutne przysposobienia do pojedynku, który wkrótce miał nastąpić: ale westchnienie przerywane głębokiém łkaniem, znowu uwagę naszę zajęło. Powstałem, postąpiłem ku drzwióm, otworzyłem je; Anna klęczała na progu; wiedziała już ona o téj fatalnéj tajemnicy. Jéj miłość, wrażenie jakiego doznała, rozstając się wieczorem ze swoim narzeczonym, ostrzegły ją o niebezpieczeństwie, na jakie się wystawiał. Stłumiony rospaczą, pozbawiony prawie zmysłów William wziął ją w objęcia i okrył pocałowaniami, wtenczas, kiedy Anna, nieszczęśliwa młoda dziewica tu-

liła gwałtownie kochanka do swojego łona. Oh! przypominam ja tę chwilę fatalną, jak gdyby mi teraz obecną była jeszcze. Widzę przed sobą tę nieszczęśliwą młodą dziewicę, tak piękną, tak pełną grzkich udręczeń, ze łzawémi oczyma, któréj łonem łkanie przerywane miotało!

— Williamie! zostań! — zostań! — zaklinam ciebie!

— Potrzeba się potykać Anno, rzekł jéj William ze słodyczą, honor tego wymaga; nie mógłbym znieść twojego widoku, umarłbym ze wstydu, gdybym, nazbyt słaby, ustąpił twoim prośbóm. Uspokój się, twoje udręczenia mnie dolegają, a ja teraz całéj mojéj siły potrzebuję. To mówiąc, wyrywał się z objęcia Anny; ale wtém znagła młoda dziewica wydała krzyk przeraźliwy, usta jéj pobładły, a całą postać drżenie przejęło. O'Grady wszedł do izby, niosąc futerał z pistoletami, i ostrzegł nas, że już chwila udania się na plac pojedynku nadeszła. Na ten widok nogi pod dziewicą ustały, i padła

bez przytomności. Poruczyliśmy ją staraniom sługi i opuściliśmy tę scenę bolesną.

Nocne tumany okrywały gęstą zasłoną wieże zamkowe; ranek był chłodny, a od czasu do czasu, promienie wschodzącego słońca, rzucały naokoło nas bladawe światło, które całe przyrodzenie barwą posępną zdawało się przyoblekać. Jechaliśmy w milczeniu, i jużeśmy byli na półowie drogi od miejsca do bitwy przeznaczonego, kiedy O'Connor, który często z niespokojnością na swój zégarek poglądał, poradził nam, ażebyśmy oddali konie służącemu, a sami poszli drogą poprzeczną, która nas w minut kilka na plac wytknięty miała zaprowadzić. Zsiedliśmy z koni i wyprawiliśmy się polem; ale tu nowa scena na nas czekała. Pojedynek ten nieszczęśliwy, z któregośmy największą tajemnicę czynili, był już wiadomy okolicznym mieszkańcóm. Rozgłoszony, bez wątpienia, przez sług zamkowych, rozszedł się po wszystkich wioskach przyległych, i ze wszech stron ujrzeliśmy ludzi uzbrojonych w maczugi, i dążących w tymże samym kierunku, w któ-

rymeśmy postępowali. W tym tłumie znajdowała się białogłowa już podżyła, okryta płaszczem czerwonym, która usilnie przyspieszała kroku i szła przed nami; na odgłos naszego stąpania odwróciła głowę, a poznając O'Connora pokwapiła się ku niemu, i z płaczem wzięła go za rękę:

— Co ty robisz tak zawcześnie w polu Saro? rzekł do niéj O'Connor ze słodyczą.

Biédna staruszka odpowiedziała mu na to tylko spojrzeniem; ale to spojrzenie tyle zawiérało w sobie smutku, tyle wymowy, iż trudno było omylić się, względem uczucia wewnętrznego, które miotało sercem téj nieszczęśliwéj kobiéty. Sara była mamką O'Connora, i jak wszystkie Irlandzkie kobiéty, z tego względu, poczytywała się ona za drugą jego matkę; dowiedziała się wnet, równie jak wszyscy wieśniacy okoliczni, że jéj ulubione dziécię miało pojedynkować ze straszliwym Fitz-Gerald'em i również, jak wszyscy, ku jego się obronie kwapiła. O'Connor chciał ją uspokoić, ale to było napróżno; staruszka, któréj ręce drżące usiłowały naprzód

zatrzymać swoje ukochane dziécię, znowu poszła skwapliwie i pospieszyła na miejsce bitwy.

Tłum wieśniaków i białychgłów czekał tam na nas; skoro tylko nas spostrzegli, tysiące okrzyków: —niech żyje O'Connor! niech żyje lord zamku! pozdrowiły nasze przybycie. Po niejakiéj wnet chwili, ujrzeliśmy zbliżających się Fitz-Gerald'a i kapitana. Wtenczas ci dobrzy wieśniacy poruszyli się, otoczyli go na około, i podnieśli groźne przeciwko nieprzyjacielowi jego złorzeczenia. O'Connor pomknął się na przód; a zaleciwszy milczenie, rzekł do nich:

—Moi przyjaciele, dziękuję wam za przychylność jaką mi okazujecie, oświadczenia jéj dowodzą, czegobym się mógł spodziewać, gdybym waszéj kiedy dla siebie posługi potrzebował; ale tu przeciwnik z którym mam do walczenia, jest umieszczony pod opieką praw honoru; ja odpowiadam za wszystko złe, jakieby się jemu stać mogło. Proszę więc was szanować jego, cóżkolwiek z losu wypadnie!

— Przeklęctwo Fitz-Gerald'owi! wołali wieśniacy; niech umiéra złoczyńca haniebny!.... morderca! który chce zabić naszego młodego lorda!....

O'Connor zabrał głos znowu, i wyrazami, którym oprzeć się było niepodobna, potrafił uspokoić tę tłuszczę, która stanęła po obu stronach placu pojedynku i w milczeniu oczekiwała końca. Wtenczas Fitz-Gerald przystąpił ku swojemu wspaniałomyślnemu przeciwnikowi, pozdrowił go lekkiém skinieniem głowy, jak gdyby dziękując za jego wspaniałość, i zapytał: azali tu było bezpieczeństwo dla jego osoby?

— Zaręczam, iż nic złego nie ucierpisz.

Ja także zbliżyłem się do kapitana, żeby się ostatecznie ułożyć. Chciał on, ażeby odległość pomiędzy walczącymi była dziewięć kroków; ale ja odrzuciłem ten warunek, i rzecz tę zostawiłem na rozstrzygnienie losowi. Inne warunki pojedynku tego były, że walczący strzelać mają jeden po drugim, i w téj mierze los dla nas był przychylny. Odległość została odmierzona; daliśmy każdemu

z walczących pistolet nabity; po czém wśrzód głębokiego milczenia przeciwnicy stanęli na swoich miejscach.

— P. O'Connnor czy już gotów? zapytał kapitan.

— Gotów, odpowiedziałem.

— W takim razie: pal!

O'Connor wystrzelił; ale miarkując po sposobie, jakim był wymierzył swój pistolet, nie było nikogo pomiędzy tym tłumem licznym, któryby jego zamiaru nie odgadł; i natychmiast tysiące się głosów ozwało: iż na wiatr wystrzelił. Te słowa, na nieszczęście, były bardzo prawdziwe; wspaniałomyślność kierowała bronią O'Connora: ale ten szlachetny sposób postępowania bynajmniéj nie wzruszył zakamieniałego kapitana; zbliżył się on ku Fitz-Geraldowi, (który, w uczuciu niebezpieczeństwa, w jakiém się przed chwilą znajdował, zdawał się być skłonnym do odpowiedzenia szlachetnie na wspaniały czyn swojego przeciwnika) i rzekł mu, ażeby użył dobrze należącego mu się prawa strzału; potém obracając się do gromady wieśniaków,

którzy postępowali ku nim i chcieli przegrodzić drogę; wziął pistolet i pogroził, iż piérwszemu, który się odważy przybliżyć, w łeb wypali. Pogróżki te nikogoby nie przestraszyły, a tłum miał się już dopuścić gwałtownych czynów, względem Fitz Gerald'a i jego sekundanta, kiedy O'Connor wdał się nanowo i potrafił przywrócić porządek.

Dwaj przeciwnicy stanęli znowu na swoich miejscach. Przyznam się, żem poczuł dreszcz przechodzący po całém mojém ciele, kiedy O'Connor nieruchomy z oczyma osłupiałémi, z postawą spokojną, skinął na mnie, ażebym dał hasło; wtenczas, wzruszonym głosem zawołałem:

— Kapitanie M'Creagh P. Fitz-Gerald czy już gotów?

— Tak jest!

W téjże saméj chwili, nieszczęśliwy mój przyjaciel, wydał krzyk rozdzierający serce, i upadł, nurzając się we krwi własnéj. Już było po nim; kula jego przeciwnika, w samo go serce ugodziła. Wtenczas nastąpiła scena do opisania niepodobna: mordercy, co

tchu unosili się, ścigani przez wieśniaków, wtenczas kiedy ja z O'Grady'm, nachyleni nad ciałem naszego przyjaciela, utrzymywaliśmy go na ręku i szukaliśmy rany.

— Jerzy, przemówił, mój biédny Jerzy, ja umiéram.... Potrzeba uwiadomić Annę, moję matkę.... Powiedz im wszystko.... Chcę je oglądać, uściskać....

— Dusi mię, zawołał, pić mi się chce!.... Ale tu się zatrzymuję; nie zdołam wydać krzyków boleści staréj Sary tarzającéj się po ziemi, przy ciele tego, którego mlékiem swojém wykarmiła. Nie potrafię odmalować boleści téj staréj matki, która, uwiadomiona przez Annę, przybiegła drżąca na miejsce, gdzie syn jéj dogorywał. Wyznam, żem widział, od tego czasu, mnóztwo umiérających; oglądałem pola bitwy usłane trupami; ale nigdy, jak w téj chwili, serce moje żywszych uczuć nie doświadczyło; nie mogłem zwrócić oczu na mojego nieszczęśliwego przyjaciela; był w jego spojrzeniu jakiś niepojęty wyraz błagania, który ściskał moje serce. Nakoniec, nieco się uspokoił, postrzegł swoję matkę,

zdobywał się na usilność, ażeby ją uścisnąć; ale mu brakło już mocy; potém ręce jego zwisłe opadły, i w kilka sekund przestał oddychać...

....

Taki był opłakany koniec nieszczęśliwego dziedzica imienia O'Connorów. Od tego dnia fatalnego, przestałem uczęszczać do zamku, kiedy, w sześć miesięcy po tym wypadku, znajdując się w sąsiedztwie, wszedłem na wysadzoną drogę prowadzącą do wielkiéj bramy; drzewa zawsze się bujno zieleniły; konary skropione świéżą rosą kołysały się ochoczo poruszane powiéwem; ale dziedzińce, któremi przechodził, były opustoszałe; psy myśliwskie, które piérwéj je napełniały, opuściły swoje sfory i przybyłem do przysionka pałacowego, nie napotkawszy nikogo. Na widok tych miejsc, którem kiedyś tak ożywione oglądał, a które mi przywodziły na myśl pamiątki tak okrutne, nie mogłem się odjąć najżywszemu wzruszeniu, i jużem się chciał oddalić, kiedy stara mamka O'Connor'a wyszła z salonu, w który-

mem przepędził ostatni wieczór z Williamem: dowiedziałem się wtenczas od Sary, że pani zamku nie wychyliła się ze swojego pokoju, od czasu, jak utraciła syna, i że Anna jego narzeczona, od kilku dni, w grobie, ze swoim się oblubieńcem połączyła.

(Dublin Rewiew.)

ROZMAITOŚCI.

DIARIUSZ WJAZDU I AKTU KORONACII NA KRÓLESTWO POLSKIE, NAJJAŚNIEJSZEGO AUGUSTA II. (1)

Die 12 7bris 1697 o godzinie siódméj z rana wprowadzono w zamek krakowski *pro securitate* piechoty polskiéj i węgierskiéj, których było *circiter* pięć chorągwi w nowéj barwie. Za niémi szły garnizony piechotne Króla Jmci, począwszy od saméj floryańskiéj bramy, aż do zamku przez wszystko miasto we dwa rzędy, rozstawione, które stały aż do skończenia wjazdu. Gdzie zaś obszerność miejsca była, jako to: w rynku, w przecznicach, ulicach, stały chorągwie arkabuzierów

(1) Z dawnego rękopismu.

zbrojnych, wszyscy w koletach; a tych mogło się rachować na dwa tysiące. Szły potém węgierskie piechoty, których było cztéry chorągwie.

Wystawione były w mieście na mieyscach zwyczaynych, w perspektywie, dwie bramy tryumfalne, wyśmienitą robotą z napisami i osobami złocistémi przodków Króla Jmci, przy krzykliwéy dętéy i instrumentalnéy muzyce, ozdobione. Na piérwszéy bramie był orzeł biały z rozpostartémi skrzydłami, kleynot korony polskiéy reprezentujący, który misterno skłaniał głowę nisko, dla powitania wjeżdżającego Pana. Pod nim wpośród bramy malarskim kunsztem, obraz Króla Jmci *ad vivum* potrafiony.

Na drugiéy bramie osoba Króla Jmci pod laurowym wieńcem, na koniu, nakształt sztukateryey *in aère*: któremu Geniusz Polski albo anioł lecący, kładł na głowę koronę. Przez te tedy bramy szły cechy mieyskie, wszystkie z chorągwiami; nawet i z Wieliczki Górnicy wszyscy w płociennicach białych, przy chorągwi. Za nimi następowała raytarya w barwie czerwonéy Królewska, z białém płaszczów podszyciem kornetów siedm, z zieloném podszyciem kornetów dziewięć, z błękitném podszyciem kornetów dwa. Wszyscy konno, z jednakiémi muszkietami. Ich zaś officerowie byli w jednakim stroju białym, z srébrnémi galonami; mieli kapelusze pod strusiemi piórami także białémi.

Następowała tudzież przodkując gromadna

kompania PP. Kupców Krakowskich, w stroju polskim, szaro przybranych. Była także i druga kompania kupiecka w stroju cudzoziemskim, nakształt kawaleryey, wymundurowana. Obie te kompanie na dobrych koniach przy trąbach i dętéy fayferów muzyce, stanęły w rynku szeregiem sporządzone i czekały na wjeżdżającego Króla Jmci: a pod czas ten, z dział na koło miasta ognie burzące dawano.

Potém jechali lokaje królewscy w barwie czerwonéy, potrzeby odmienne w lankotkę, błękitne ze srébrem mieszane; tych było sześćdziesiąt. Za nimi w takiéyże barwie trębacze jechali z srébrnémi trąbami N. 12., mieli kotły srebrne. Prowadzono potém muły, iuczone skarbami, nakrytę żółtémi całónami, jakby czaprakami, na głowach i na jukach miały kity wysokie z piór, u uszu dzwonki głośne, tych było cztérdzieści. Przy każdéy parze szedł w żółtéy barwie masztalerz, za témi para mułów niosących lektykę królewską, przy tych były srébrne dzwonki i stroyno masztalerze.

Następowały przepyszne karety różnych panów, w liczbie dwadzieścia cztéry. Za niémi szły karety wyśmienite królewskie N. 12. — Ostatnia piękna i bogata, blachami złocisto srébrnémi obita, w cugu ośm koni masłowatych bardzo pięknych, szory bogate, a woźnica w takiéyże barwie ceglastego sukna angielskiego, jako i lokaje.

Potém prowadzono konie powodne królew-

skie N. 14. — Wszystkie bardzo piękne, rzędy bogate, złote, niektóre sadzone dyamentami, rubinami, szafirami, nakryte nowémi dywdykami aksamitnémi, koloru karmazynowego, z frandzlą złotą szeroką, na których były bogato haftowane herby królewskie pod koroną, na każdym pięć herbów. Innych koni ośm było na powodzie, jeszcze pięknieyszych, z siedzeniami polskiémi i tureckiémi, rzędy bogate, kamieniami drogiémi sadzone, przy tych, dwóch masztalerzów, w barwie tegoż koloru jak lekaje.

Następowała potém kawalkata różnéy Jchmć PP. Szlachty. Tamże kawalerów wielu, cudzoziemskim strojem, Polaków i cudzoziemców J. K. Mci. Za nimi znowu trębaczów dwanastu z srébrnémi trąbami i kotły przy nich srébrne, ze złocistémi herbami. Po nich szły raytarze królewskie w koletach i zbrojach chorągwi 12, wszyscy jednakowo fuzie w rękach trzymający. Za témi szły woyska ozdobne polskie, chorągwie pancernych cztéry, wołoskich dwie, ussarskich trzy, po nich karoce dwie bogate królewskie.

Następowali Jchmć PP. Senatorowie i różna szlachta na koniach. JP. Marszałek Nadwor. niósł laskę, z jednéy strony jego był JP. Woiewoda Krakowski, z drugiéy JP. Kasztelan Poznański. Za nim jechał po prawéy ręce JX. Biskup Kujawski, po lewéy ręce JX. Biskup Żmuydzki; potém sam Król Jmć pod baldachymem (który nieśli Jmć PP. Raycy Krakowscy) jechał na masłowatym koniu,

prawie w takt po trąbach, pląsy czyniącym, w rzędzie diamentowym. Sam Król Jmć miał suknią suto sadzoną diamentami, niemiecką, cielistą, podszytą gronostajami, na piersiach sztuka diamentowa, jak słońce z promieniami (ta suknia miała kosztować cztérnaście milionów ryńskich), kapelusz pod ceglastemi strusiemi piórami. Na kapeluszu przy bindzie dwa diamenty spięte wielkości jak orzechy łaskowe. Za nim jechał JX. Biskup Passawski Poseł Cesarza Jmci, JMX. Biskup Jaworyński brat stryjeczny Nayjaśniejszego Elekta Polskiego; Rezydent Moskiewski. Po nim cztérech Prałatów, dwóch JXX. Referendarzów i dwóch Opatów. Za tymi urzędnicy i kawalerya JKMci w kawalkacie, bardzo stroyno i ozdobnie na koniach bucznych i bogato ubranych. Około Króla Jmci szli we dwa rzędy szwaycarowie z alabartami złocistémi, barwa błękitna, żółto w pasy, pludry odęte z wstęgami: — tych było sto.

Po nich szły chorągwie raytaryéy Królewskiéy, jedni byli w barwie karmazynowéy z srébrnémi galonami i potrzebami, wszyscy na dobrych koniach siwych, drudzy w téy barwie na koniach karych (ci są *custodes corporis* Króla Jmci z gołémi mieczami albo rapierami, było ich trzysta. Po nich zbroyni, w koletach *ut supra*, tych wszystkich było chorągwi dwanaście — i tak *pompose*, wjechał spokoynie Król JP. N. Miłł. szczęśliwie jako *Augustus secundus*, do zamku Krakowskiego, którego sekundowała

secundive i sekundować będzie łaska Najwyższego.

A ten dzień dwunasty może się nazwać ubłogosławionym, ponieważ w ten czas wjazdu, dał P. Bóg wielką wiktoryą Cesarzowi JMci Chrześciańskiemu w Węgrzech, gdzie trzydzieści tysięcy zniesiono Turków, i obozy z armatami odebrano. W tenże dzień 12 7br. przed laty, walną i sławną Jan III Król Polski z Rycerstwem Koronném i W. X. Litt. pod Wiedniem wiktoryą otrzymał, Wiedeń z obsydyéy oswobodził.

Dnia 13 w Piątek były solenne exekwie za Króla ś. p. Jana III na zamku w kościele Katedralnym krakowskim, katafalk był o sześciu gradusach. Truna na lwich nogach stojąca, wszystka czerwono obita, na trunie na jednéy poduszce berło, na drugiéy korona. Nad katafalkiem zawieszono kopułę, *per modum* baldachina, z drzewa wszystko. Swiatła i na wierzchu i około truny wielki dostatek. Król JMc w żałobie *in assistentia* JW. JPP. Senatorów, Urzędników i szlachty. Celebrował JX. Biskup Żmuydzki, *orationem* miał *funebrem* po łacinie JX. Gardwanowski, Kanonik Krakowski, potém pod truną rzucono chorągwi dwie, pieczęci, berło, laskę stłuczono, miecza nie rzucano, ale go oddano JP. Miecznikowi. Sam Król JMć był blisko truny pod czas tych ceremoniy. Rozdawali także panegiryk *in laudem* nieboszczyka. Po nabożeństwie stypa w pałacu królewskim, pod czas któréy właśnie po żoł-

niérsku z dział bito. Mszy śś. tak siła, że drudzy nie celebrując odchodzić musieli, chociaż się ledwo o drugiéy godzinie skończyło z południa. Wszystko to *sumptu proprio* Króla JMci, który na same msze śś. dał tysiąc talerów bitych.

Dnia 14 7br. Szedł pieszo Król JMć *processionaliter cum Clero* na Skałkę, więc od samego zamku aż do Skałki przez Stradom i Kaźmierz, stały piechoty królewskie wyżcy opisane, było ich 10 chorągwi; także na wszystkich passach, arkabuzierowie na koniach, jako i na wjazd. Potym jechali JMPP. wiele szlachty, nierównie więcéy niż podczas zjazdu, bo się byli pozjeżdżali na ten akt do Krakowa. Potém szło Paziów dwadzieścia cztéry, bardzo pięknych i dorodnych chłopców, wszyscy Polacy; w czerwonéy barwie, potrzeby błękitne ze srébrem, szerokie. W takiéyże barwie, lubo inakszym krojem trzydziestu lokajów; potém szło pachołków sześćdziesiąt, strojem z węgierska przybranych, w takieyże barwie czerwonéy, z takiemiż potrzebami; czapki mieli na kształt magierek, pod piórami podłużnémi, białémi i błękitnémi, na spodku stróy węgierski, z wierzchu jak *tuzłuki* (?) do saméy ziemi, takiéyże barwy (trzeba wiedzieć że te potrzeby błękitne i z srébrem galony były przerabiane według diferencii sługów; a nie były szyte na sukniach tych kolorowych prosto, ale przecinane, jak zęby u piły, co niepodobna jak wdzięczną czyniło apparencią. Potém szli

piechotą JMMPP. Senatorowie, za nimi JP. Marszałek niósł laskę, za nim Król JMć, wszyscy piechotą, około niego szwaycarowie z alabartami. Potém Kawalerya a *custodia corporis*, wyż opisana, na koniach. Za niemi postępowała królewska karoca, z ośmią koni ciemno-pleśnistémi. Tak tedy na samym wstępie w miasto Kazimierz PP. Raycy tameczni ore JP. Groszkiewicza Burmistrza, przy niskim ukłonie, oddali powitanie, a gdy potém Król JMć nadchodził blisko kościoła OO. Augustyanów S. Katarzyny, zaszli mu drogę wielebni tamtego Konwentu zakonnicy, którym przodkując przewielebny Oyciec Przeor, godną Króla JMci przemową powitał, na którą JW. JP. Podkanclerzy Koronny, *ex tempore*, imieniem Króla JMci odpowiedział. Postępując tedy daléy ku Skałecznemu Kościołowi, Król JMć *obvios* zastał tamecznych oyców *S. Pauli 1mi Eremitae*, przy prezenciey wielebnego Oyca Prowinciała, który *oratoris sermone*, Pana *condigne* powitawszy, odpowiedź *itidem* od JP. Podkanclerzego Kor. *adaequate* odebrał.

A jak skoro zwykłe ceremonie przy nieszporném nabożeństwie Król JMć zakończył, z tąż assystencią i takimże porządkiem siadłszy w karocę, nazad do zamku powrócił.

Co zaś za *magnificentia* i *apparentia* była *arcus tryumphalis* przed kościołem Skałecznym, a dobrze akkomodowanémi inskrypciami, krótko tego niech będzie *in scripto relacia*. Naprzód obraz S. Michała Archanioła

elevato loco akkomodowany; pod nim zaś Króla JMci zawieszony konterfekt, *mediente inscriptione apposita* w te słowa: *Protegat eum, quoniam cognovit nomen meum.* Po prawéy stronie dano obraz S. Stanisława z napisem: *Aurea Sarmatici redeunt jam saecula Regni.* Po lewéy stronie był obraz *S. Pauli 1mi Eremitae* z tym applauzem: *Surgit in Augusto pietas rediviva secundo*; a na pobocznych kolumnach zawieszono *insignia regia*, na jednéy kolumnie napis: *In fulcrum Patriae*, na drugiéy: *In fulcrum libertatis*, wyrażono.

15 7br. W niedzielę, w Kościele katedralnym Krakowskim, w małym chórze przed wielkim ołtarzem, wystawiony był tron w ośmiogran podłużny, do którego było sześć gradusów od wielkiego ołtarza, obity suknem czerwoném, nad nim baldakin; krzesło na tronie to, którego jeszcze księciem bywszy zażywał, czerwone aksamitne. W siedzeniu poręcze srebrną blachą obite, w tyle krzesła blacha srebrna wielka z herbami na wierzchu.

Przed tronem stali PP. Namiestnicy Jchmć PP. Chorążych, po prawéy ręce chorągiew czerwona, z znakiem honorowym, to jest: Orłem białym, w pośrodku jego herb Królewski; po lewéy ręce chorągiew błękitna z znakiem W. X. Litt., to jest: z Pogonią; przy tronie także był JP. Miecznik z gołym mieczem. Przy wielkim ołtarzu stało cztérech biskupów *pontificaliter* ubranych, to jest: JX. Biskup Krakowski, Żmuydzki, i JX. Suffra-

gan Warmiński. Przyszedł potém JX. Biskup Kujawski, *in ornatu pontificali*, któremu assystowali cztérech Kanoników, a raczéy prałatów; zasiadłszy przed wielkim ołtarzem wysłał dwóch biskupów, JX. Kanclerza, i JX. biskupa Żmuydzkiego, którzy *accesserunt obviam* Królowi JMci za mały chór, a niżeli się wrócili przynieśli *insignia regia* na białych poduszkach: naprzód jabłko niosł JP. Generał Wielkopolski, Leszczyński; berło niosł JP. Słuszka, Kasztelan Wileński, Hetman P. Litt.; Koronę niosł JP. Potocki Wda Krakowski, Hetman Pol. Kor. — Korona jest czapeczka aksamitna czerwona, na krzyż, z wierzchu opasana złotą blaszką, a w około jest korona po prostu w ząbki robiona ze złota, bez żadnych kanaków.

Wszedł tedy Król JMc ubrany po książęcemu, spodem *cathafractus*, na wierzchu toga fioletowa w kwiaty i mucet gronostajowy, kapelusz pod białémi piórami strusiemi. Przed Królem wiele Państwa stało. JP. Marszałek Nadworny niosł laskę JM. XX. Biskupi *ex utroque latere* prowadzili go. I przystąpiwszy przed ołtarz zaraz *genuflexus* kapelusz zdjąwszy, padł krzyżem na ziemię, gdzie było czerwonym aksamitem wysłano. JX. Biskup Kujawski czytał benedykcią nad nim. Po skończonéy benedykciey pierwszéy, *genuflexus* przed X. Kujawskim Król JMć, obok mający dwóch biskupów, *praestitit juramentum*; po którym, dalsze nad nim czytał

consecrans benedikcie. Zaczém Król JMć *recessit gradibus Altarès* w zad, i przed ołtarzem klęknął; *Consecrans* zaś na samych gradusach. I zaczęto litanią *de omnibus Sanctis, populo respondente: Ora pro Eo.* Gdy się skończyły owe słowa: *Ut Ecclesiam tuam S. regere* etc.; JX. Kujawski stanąwszy *super gradu altaris, verso vultu ad populum* i Króla JMci, sam śpiéwał: *Ut hunc Electum Tuum benedicere et conservare digneris*; i sam go przeżegnał po dwakroć, *populo respondente: Te rogamus* etc. Po skończonéy litaniéy, JX. Kujawski zmówił kollektę i siadł na stołeczku. Przystąpił potém JX. Przemyślski Kanclerz W. Kor. *pontificaliter* ubrany do króla JMci klęczącego, i długi czas czytał mu text ex pontificali. To skończywszy, przystąpił Król JMć klęknąwszy *ad pedes consecrantis*; podpisował na gradusach *Pacta Conventa.* Po podpisie przystąpiono *ad unctionem.* Zdjęto mu tedy zbroję; naprzód *in fronte,* potém *inter scapulas, a parte dextra,* naostatek *ad cubitum dextrum unxit* JX. Biskup Kujawski *consecrans*, i znowu nad nim benedykcią czytał. Zaczęła się tedy dopiéro msza ś., a Król JMć *accedentibus vexilliferis*, którzy go już nie odstępowali nigdy *ad omnem motum ipsius,* wyszedł pobocznémi drzwiami od ołtarza, i tam a parte w kaplicy zdjąwszy stróy książęcy, ubrał się w sandały, albę, dalmatykę i kapę *alias* pluwiał, ten zaś był biały lamowy, na nim *mixta* kwiatki złote, szczyt i boki aksamitne,

cynamonowe jasne, z złotémi potrzebami bogatémi.

Po Epistole wyszli dway biskupi, co i przed tém, i przyprowadzili Króla przed wielki ołtarz, w kapie ubranego, i zaraz mu dał *consecrans* w rękę miecz, którym, *praevia consecratione*, szermował kilka razy, potém przypasał do boku. *Interea* iego szpadę odebrał JP. Kasztelan Poznański, u którey główka z jednego dyamentu, który licho szacowany dziesięć tysięcy czerwonych złotych; sama zaś rękojeść tak *accomodate* była sadzona dyamentami, że się jednego zdała bydź dyamentu. Podano potém na poduszce koronę JX. biskupowi Kujawskiemu, który włożył na głowę Króla klęczącego. Potém dał mu berło do ręki, za każdą razą *certa verba proferendo et beneficendo*. Tak tedy *coronatum* prowadził od ołtarza *consecrans*, i dway biskupi z nim, Króla Jmci na tron i naprzód sam X. Biskup Kujawski krzyknął: *Vivat Rex!* populo acclamante: *vivat, vivat!* I posadziwszy go na krześle, nad siedzącym czytał benedykcią; tę skończywszy zaczęto: *Te Deum Laudamus* etc. Potém znowu tenże *consecrans* benedykcią czytał.

His peractis, sam X. Biskup Kujawski nisko Królowi JMci pokłoniwszy się siedzącemu na tronie, powinszował; a potém inni *Episcopi ipsum secuti*; *tandem* Senatorowie *officiales*, naostatek kto się mógł docisnąć z Szlachty, *fimbriam vestimenti* całowali *gratules*, Królowi JMci, który się wszystkim

affabilissime stawił i kłaniał. *Tandem* JX. *consecrans* odszedł od tronu do ołtarza i prozekwował mszą S. *Post offertorium*, dway biskupi, którzy byli zostali przy tronie, prowadzili Króla JMci do ołtarza, któremu klęczącemu dał *consecrans* jabłko złote, *et perlecta benedictione*, znowu biskupi odprowadzili na tron, tu znowu krzykniono: *Vivat! populo acclamante*, aż się sam Król uśmiéchał. Odeszli zatém Biskupi od niego i msza ś. *continuabatur*. Jak skoro przyszło do *Pax Domini* przynieśli mu biskupi relikwią ś., którą pocałowawszy, szedł z nimi do wielkiego ołtarza; *et cum summa devotione*, sam sobie zdjąwszy koronę, przystąpił do S. Kommunii; potém wdziawszy koronę, powrócił na tron. Tak skończona msza S. *et benedictio data populo.*

Potém ruszył się Król JMć z tronu. Pieniądze albo numizmata rzucano, na których po jednéy stronie było berło z mieczem na krzyż w koronie, *cum inscriptione*: *Reget et defendet*; na drugiéy stronie *effigies*, *cum titulo et expressione diei coronationis* — Słano mu drogę suknem czerwoném od tronu przez kościół, ulice, dziedzińce, schody, aż do samego pokoju, którędy szedł z tronu, *cum assistentia* Senatorów, Chorążych i Panów *in toto* orszaku, w Koronie, z berłem i jabłkiem, jako na tronie siedział, i tak *feliciter regnaturus processit* do pokojów swoich.

D. 16 7br. Jechał Król JMć po obiedzie z zamku *pompose* przed ratusz Krakowski,

gdzie mu wystawione było teatrum obszérne, czerwoném suknem obite, i tron pod baldakinem: a od zamku aż do samego ratusza, stały dwiema rzędy piechoty królewskie w barwie czerwonéy, płaszcze zawinione na sobie mający, z podszyciem białém. Za nimi, drugim rzędem stały piechoty węgierskie różnych panów, jako to: JPana Wdy Krakowskiego, JP. Hetmana P. Litt., Marszałka Nadw. Kor., JP. Sty Krakow. Od bramy tryumfalnéy na grodzkiéy ulicy, aż do samego ratusza stali arkabuzerowie w koletach i zbrojach, było ich jak trzy tysiące, na koniach.

Ruszyła się tedy od zamku o godzinie piérwszéy, naprzód chorągiew iedna pancerna z dzidami, proporce na nich żółte z czerwoném, ta była królewska. Po nich następowali grenadierowie królewscy, w barwie czerwonéy, piechotą, na głowach mieli czapki, nakształt infuły, czerwone, a na białém dnie herby królewskie przyszyte,— tych iedna chorągiew. Po nich szły trzy chorągwie piechoty królewskiéy, w czerwieni. Officyerowie także w czerwieni pod białémi piórami. Pendenty mieli czerwone, białą kitajką przewinione. Potém szła chorągiew arkabuzyerów w koletach zbroyno, officyerowie w szatach koloru perłowego z srébrnémi szerokiemi potrzebami. Następowała para kotłów srébrnych i dwunastu trębaczów z srebrnemi trąbami. Po nich druga para srebrnych kotłów z drugiemi dwunastu trębaczami, także

srebrne trąby maiących; wszyscy pięknie konno, pod iedną barwą koralową, z błękitno-białémi potrzebami. Potém szło paziów dwadzieścia cztéry, za nimi prowadzono konie królewskie, które były na wjazd, było ich trzydzieści sześć z témiż bogatémi czaprakami i siedzeniami. Szło za tém karet Królewskich piętnaście. Cugi dziwnie piękne, różnéy maści, coraz pięknieysze a szory na każdym cugu inakszą robotą, wszystkie złociste. W ostatniéy karecie bardzo bogatéy było ośm koni masłowatych, bardzo pięknych i rosłych, przy téy karecie było trzydzieści szwaycarów z alabartami. Potém prowadzono sześć rumaków, których piękności, fantazyey i bogatego rzędu i siedzenie od kanaków i dyamentów, trudno opisać. Każdego rumaka z obu stron prowadzili dway masztalerze. Za nimi szła znowu chorągiew w koletach jako i przedtém. Tu się mieszały karety różnego Państwa, ku ratuszowi jadącego. Zatém następowało woysko Polskie, nayprzód pancernych pięć, tych był Pułkownikiem JP. Łowczy Kor. Potocki, Kawaler i żołnierz, któremu w składności i fantazyéy siedzącemu na koniu przybrać trudno. Chorągwie były JP. Wdy Krakow., JP. Marszałka Nadw. Kor., JP. Hetmana Pol. Litt. Króla nieboszczyka i teraźnieyszego Króla JMci nowozaciążna, wszystkie tak okryte, że pod iedną na dwieście koni mogło się rachować. Tych wszystkich pięknie ordynował JP. Łowczy, przed kościołem S. Woy-

ciecha, że stanęły w oczach Królowi JMci przejeżdżającemu. Za témi następowały Chorągwie Hussarskie; pierwsza z proporcami żółto-czarnémi, JP. Wdy Krakowskiego; druga z proporcami czerwono-białémi JP. Marszałka Nadwor.; trzecia Królewica JMci Jakóba; czwarta Króla JMci nowo-zaciężna z proporcami żółto-czerwonémi. Te chorągwie, ieszcze w liczbie towarzystwa, koniach i porządku, rzędach złotych, bogatych, daleko przechodziły nad pancerne. — Za témi następowało różnéy JPP. Szlachty i innych Panów wielkość na kilka tysięcy, wszystkie bogato i stroyno. Jechali potém JMć PP. Chorążowie Koronny i Litt., trzymający każdy narodu swego chorągiew. Koronna była czerwona, na niéy orzeł srebrem haftowany, w pośrodku orła herb królewski. Litewska granatowa z pogonią srebrem haftowaną. Około Pana Chorążego szło dwóch tatarów w toskukach (?) czerwonych i zawojach, którzy się strzemion trzymali. Między Chorążemi iechał JP. Miecznik z gołym mieczem. Po nich iechali Jchmć trzymający Królewskie *insignia*, JP. Generał Wielopolski, niosł jabłko złote, berło JP. Hetman P. Litt., Koronę JP. Wda Krakowski. Następował JP. Marszałek Nadwor. Kor. z laską bogatą, z wierzchu, we śród i od spodu dyamentami sadzoną, a za nim Król JMć na tymże masłowatym koniu co i na wjazd tak pląsy czyniącym. Właśnie o godzinie piątéy wjeżdżał przed ratusz, przed którym po grodz-

kiéy ulicy pieniądze rzucano takowe, jako *in diej coronationis*. Wtém dawano burzące ognie z moździerzów w rynku krakowskim, także z hakownic, na koło przy ratuszu.

Sam Król siedział w szatach polskich, Żupan biały lamowy w kwiaty miotane złote; kontusz z moskiewska wcięto robiony aksamitny, gronostajowy; czapka sobolowa także aksamitna na krzyż przepasana perłami uryańskiemi, z boku pióra z sztuką dyamentową, bót żółty, podkówki srebrne, w ręku buzdygan piękny. Jadący wszędy wesoło poglądał po oknach i częstokroć czapkę zdeymował. Niepodobna jak mu po polsku przystoi. Przyjechawszy przed *teatrum*, zsiadł z konia i trochę posiedziawszy na tronie pod baldakinem poszedł na ratusz, gdzie mu było posłano na ratusz idącemu sukno czerwone od samego *teatrum* aż do izby. Tam się ubrał w sandały, albę, dalmatykę i kapę, jak przy koronacii; wdziawszy perukę i na się koronę włożywszy, berło i jabłko złote mając, szedł z ratusza na tron, przed którym szli parami JPP. Raycy. Pisarz niósł księgę z prawami i przywilejami miasta; drugi na tacy srebrney wielkiéy, klucze srebrne-złociste. Siadł tedy na tronie Król JMć a JP. Burmistrz Krakowski St.anisław Łopacki, miał do niego perorę krótką, któremu JX. Kanclerz odpowiedział od Króla JMci. Potém Królowi JMci prezentowano na poduszce księgi, na których rękę położył, a to *insignum approbationis et confirmationis jurium*.

Potém JPP. Raycy przystępowali *ad osculum manus* przez rękawice, a potém przysięgę Królowi JMci oddawali, gdzie przed nimi JX. Referendarz krzyżyk trzymał. Gdy się to skończyło, zawołano dziesięciu PP. Rayców, których passował na szlachectwo trzykroć mieczem uderzywszy każdego. Powstawszy z krzesła, na trzy strony szermował mieczem i oddał go JP. Miecznikowi Kor. Zszedłszy tedy z tronu wracał do Ratusza, a wtém pientądze na *teatrum* rzucano po trzy razy tylko, bo złoto było. Powróciwszy tedy Król JMć do ratusza powziął suknie polskie i w karocę swoię wsiadłszy iechał do zamku, patrzący po ludziach. Krzyku dość było, nie tylko w kotły i trąby, ale i pospólstwa wołającego: *Vivat Rex!* — Przed wjazdem Królewskim do ratusza zaprowadzono było wina na cztérech wozach, które po bokach ratusza na cztérech stronach rynku składano i fontanami misternie wystawionémi dla pospolitego ludu wylewano. Założono także publiczną w rynku Krakowskim kuchnią, kędy na rożnach drewnianych cztérech wołów całkiem pieczono, a gotowe między pospólstwo i żołnierzów rozdawano.

Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj — w Polsce od czasów najdawniejszych, aż do najnowszych. — Przez *Ludwika Gąsiorowskiego*. Dr. Med. i Chir. z godłem:

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże.
J. Kochanowski.

Tom I. w Poznaniu. — Własnym nakładem. 1839. — Na odwr. — Drukowano u K. A. Pompejusza w Poznaniu. w 8ce. *Przypis: Karolowi* Marcinkowskiemu Doktorowi i t. d. Przedmowy str. niel. 2. Dzieła str. liczb. 390. Dodatku, spisu nazwisk i omyłek drukarskich str. niel. 4.

Do zalet rzetelnych, pod względem gruntownéj nauki, sumiennéj erudycyi, badawczego ducha, wytrwałéj pracy i pożytku istotnego dla nauk, jakiémi się, w nowszych mianowicie czasach, odznaczyło piśmiennictwo polskie, w W. Księstwie Poznańskiém, dzieło, które bierzemy pod rozwagę i roztrząśnienie, najsłuszniejsze ma prawo.

Zadanie, które rozwiązuje dzisiejsza historyografija, zupełnie jest różném, a daleko ważniejszém i wyższém niżeli dawniéj; piérwszą bowiem owionął całkiem duch filozofii. Kréślący w naszym wieku historyą, nie może podług własnego widzimi się i sądu tłumaczyć powodów szczególnych wydarzeń i ich związku; ale starać się musi, podług całości i jedności panującego i koniecznego

prawa rozwijania się umysłu ludzkiego, czyli podług postępu ludzkości, dojść do poznania dokładnego osób, czasu, dziejów, i do wytłumaczenia stosunków, widoków, błędów i powikłań. Piérwszy Hecker, professor berliński, wybił się zpod przesądów dawniejszych i tą drogą w historyi medycyny poszedł; drogą po któréj z czasem można się będzie przybliżyć do wyższego celu badań historycznych, która jest jedyną prowadzącą ku prawdzie i któréj się w historyi powszechnéj już dawno trzymają. Ze szczegółów bowiem czerpie się poznanie ogółu, z pojedynczych osób, okoliczności i wypadków dochodzi się do skupionego wyobrażenia związku wszystkich wewnętrznych ogniw w umysłowém życiu narodów i krajów. Odtąd historya nie przedstawia nam trudów naukowych, ale obrazy, nie grę występujących i chowających się figur, lecz żywy dramat. Głęboko się tém przekonaniem przejął nasz uczony bibliograf i kollega Pan Jocher i nie napróżno swojemu mozołnie rozpoczętemu drukować się dziełu nadał tytuł Obrazu. Są wprawdzie tacy, którzy historyą medycyny i dotąd jeszcze uważają zaciekawą tylko zabawkę, za rzecz łatwą, dodatkową; albo tylko na pilném czytaniu i ladajakiéj ramocie zależącą; a zapominają o tém, że rozbiór i krytyka dowodzą pracy i talentu pisarza, że duch w jakim się historya pisze, stanowi jéj główną zasadę, że nie ogrom materyałów, ale ich ważność i wypadki, wnioski i jedność,

stanowią wartość dzieła historycznego. Są i tacy, którzy w świątyni historyi widzą tylko pozawieszane w pewnym porządku tablice dla wsparcia pamięci, a historyą medycyny uważają za przypadkowe połączenie rozmaitych teoryj, systematów i biografij, a nie pojmują jéj związku z wielką całością historyi powszechnéj. Ci, zaiste, z duchem historyi medycyny wiecznie się rozmijać będą; bo nie wiedzą, że ta nauka najściślejsze ma stosunki z historyą rodu ludzkiego i postępów oświaty w pojedyńczych narodach. Lecz niechaj oni tylko zwrócą uwagę na dążność oświeconych krajów, na tworzące się osobne katedry historyi medycyny, na prace Heckera, Friedländera, Lessinga, Dezeimerisa, a innego wcale nabędą przekonania. W takim stanie rzeczy, bardzo pożądaném jest dzieło Pana Gąsiorowskiego, który zrozumiał zagadkę nowoczesną i pod skromnym tytułem usiłuje przełamać wszystkie trudności, zwraca uwagę na postępy całéj medycyny wszędzie, dla jéj lepszego poznania w jednym kraju; przypatruje się jéj pod względem wyznania, praw, obyczajów, przemysłu i powstającego stąd narodowego charakteru, który w każdym kraju odmienne naukóm nadaje piętno. Tym właśnie sposobem medycyna przyjąć może postać narodowości, która się jak u starożytnych, tak i teraz w każdym kraju z osobna, jak w żwierciadle odbija. Autor nasz, wydając piérwszy tom swojego *Zbioru wiado-*

mości, zamyśla o dziele, jedyném w literaturze naszéj: w tym celu przewartował wiele dzieł rzadkich; we względzie zaś bibliograficznym trzymał się badań Janockiego, Bandtkiego, Bentkowskiego, Ossolińskiego, Lelewela, Gołębiowskiego i w. i. Będąc jeszcze uczniem medycyny, czystą i świętą ku nauce miłością powodowany, zbiérał już prace lekarzów krajowych i napisał rozprawkę inauguralną: *Brevis rei medicae in Polonia delineatio ab antiquissimis temporibus usque ad annum 1506.* — *Vratislaviae. 8. 1835*, która mu posłużyła za piérwszy rys teraźniejszych poszukiwań. Te zaś podzielił na cztéry okresy: — *Piérwszy* obejmuje stan sztuki lekarskiéj w Polsce od najdawniejszych czasów, aż do roku 965. Tu skréślił autor początkową medycynę magiczną, umieszczanie starców lub kobiét sławnych z leczenia, pomiędzy bóztwami pogańskiémi, dostanie się wspomnionéj medycyny w ręce kapłanów równie pogańskich; daléj opisał bóztwa dawnych Sławian i Polaków, jako to: *Dziedzilię*, boginią stanu małżeńskiego; *Złotą-Babę*, boginią (*pęporzestwa?*) sztuki położniczéj; *Lojmę*, boginią niewiast rodzących i niemowląt; *Auszwę*, boga chorujących; *Porońca*, bożka płodu kobiécego; *Trzybka*, bożka moru i t. d. Autor dowodzi potém, idąc za *Chroniką* Prokosza, że *podówczas już*, miano w Polsce lekarzy i niejakąś lekarstw znajomość, nakoniec opisuje używanie łaźni parowych

w Polsce i zaniedbanie ich w późniejszym czasie, gdzie granicę założonego okresu przestępuje. *Drugi okres*, zawiéra dzieje sztuki lekarskiéj od r. 965 aż do r. 1347, czyli do założenia akademii Krakowskiéj. Tu starał się autor okazać, co się najbardziéj przyczyniło do oświecenia narodu, jako też do rozszérzenia sztuki lekarskiéj i co temu na przeszkodzie stawało. Religija chrześciańska, klasztory i szpitale najwięcéj medycynie sprzyjały, szczególnie sprowadzenie zakonu S. Benedykta (1008 r.) i nauki w obcych akademiach czerpane, pomimo ustawicznych wojen domowych i morowego powietrza, którego objawianie się autor chronologicznie opisuje podług świadectw Długosza, Bielskiego, Miechowity i w. i. Nakoniec w tym okresie wzmiankowani są: *Jan* Smera lekarz polski, (którego bytności Lelewel nie przyjmuje) i Ciołek matematyk, obeznany dobrze z budową oka.— *Trzeci okres*, od założenia akademii Krakowskiéj, aż do Zygmunta I. czyli od r. 1347. do r. 1506. Tu podobnież jak w piérwszych dwóch okresach, na pewniejszych jednak nieco dowodach polegając, przytacza autor okoliczności, które się do oświaty narodowéj, a tém samém do wydoskonalenia sztuki lekarskiéj przyczyniły, wymienia co było przeszkodą do większego postępu w naukach, wylicza morowe zarazy, nakoniec lekarstwa ówczesne w szczególności. Do sprzyjających okoliczności zalicza: dawność nauk le-

karskich w akademii Krakowskiéj, (przeciw zdaniu *Jana* Śniadeckiego) wsparty powagą Kromera i Bandtkiego; zaprowadzenie drukarń, bibliotek i nauki Polaków za granicą brane. Do przeszkód kładnie: ustawiczne wojny, morowe zarazy, szczególnie czarną r. 1348 (*mors nigra*) i inne klęski. Tu znajduje się także wzmianka o chorobie syfilitycznéj r. 1493 z Rzymu do Krakowa przyniesionéj, jak świadczy Bielski i i. Nakoniec wylicza autor porządkiem chronologicznym lekarzy tego okresu, wzmiankując o ich życiu i dziełach, ile tylko mógł zasięgnąć wiadomości. Poczet lekarzy jest następujący: *Henryk* z Kolonii, *Mateusz*, *Mikołaj*, Radlicki *Jan*, *Melchior* Pernus, *Jan* z Dobry, Żeglar *Jakób*, *Maciéj* z Kobylina, Welss *Jan*, *Marcin* z Olkusza, Mochinger *Marcin*, *Andrzéj* Psarski, *Piotr* Gosowiec, *Paweł* Gaskiewicz, Martinus de Lancizia, *Piotr* z Chotkowa, *Jakób* de Boxyce, *Wawrzyniec* Grodzicki, *Jan* z Reguł, *Jan* z Piotrkowa, Zaleski *Jakób*, Baliński, *Jan* Ursinus, Kopernik *Mikołaj*, *Marcin* z Żorawic i w. i. Większa część pochodziła z duchowieństwa, bo aż do XV wieku, po całéj prawie Europie, dwie były klassy lekarzy, jedna składała się z fizyków, do któréj zakonnicy należeli, druga z lekarzy trudniących się anatomią i chirurgią. Nadto, w każdéj kapitule znajdował się lekarz Kanonik, a miejsce takowe nazywało

się: *Canonicatus doctoralis medicinae.* Pod tym względem pożądaną byłoby rzeczą, ażeby P. G...... przejrzał dzieło sławnego Dominikana *Abrahama* Bzowskiego: *Nomenclator sanctorum professione medicorum. Romae. 1612. fol.* Zresztą lekarze XV wieku zajmowali się także astrologią, osobliwie od czasów *Marcina* z Żorawic, który w Krakowie katedrę téj dziwacznéj umiejętności założył. Co zaś najbardziéj w tym okresie zasługuje na uwagę, jest to piérwsza książka lekarska w r. 1423 napisana, stanowiąca rękopism Zielnika, przez rzymskich mistrzów (zapewne uczonych duchownych Katolickich) w Krakowie przełożonego na język polski, dla Pana Stanisława Gasztowta (nie Gaczkow) Wojewody trockiego. Rękopismu tego, ile mi wiadomo, nikt dotąd nie widział, ale uczony *Wilh. Michał* Richter czytał jego tłumaczenie na język rossyjski wykonane z woli Wojewody *Tomasza Afanasiewicza* Buturlina (nie Ruturlin) w mieście Sierpuchowie r. 1588. To tłumaczenie posiadał kiedyś Prof. Uniw. Moskiewskiego Bause, lecz zniszczoném zostało przez pożar Moskwy r. 1812 w miesiącu Wrześniu. Jeżeli data 1423 (*ΔYKΓ*) jest prawdziwą, to musiało być tłumaczenie jakiegoś *zielnika* łacińskiego w rękopiśmie z wieków średnich, mającego z opisu swego wielkie podobieństwo do następujących poźniéj drukowanych: 1) *Herbarius seu Aggregator practicus de simplicibus*, pisany

w XIV wieku, drukowany 1484 w Moguncyi u Schöffer'a. 2) *Ortus* (Hortus) *sanitatis*, kilkakroć po niemiecku i po łacinie wydawany, najdawniejsza zaś edycya z r. 1485 wyszła *tamże u tegoż*. Tu ośmielam się zwrócić uwagę bibliografów na to: że zielnik czyli *Herbarz Hieronima* Spiczyńskiego wydany w Krakowie u wdowy Unglera r. 1542 fol. a opisany przez Chłędowskiego (str. 86) także jest przypisany Stanisławowi Gasztołdowi Wojewodzie Trockiemu przez Helenę Floryanową (wdowę po Unglerze). Nazwiska Gaczkow i Garztałk (*Gąsior*. 234) zapewne stanowią omyłki drukarskie; Gastoldów zaś *Stanisławów* było dwóch: jeden syn *Jana*, Kasztelan Trocki i Starosta Żmudzki, jak o tém wspomina *historya legacyi moskiewskiéj*, którą r. 1490 odprawował; drugi Stanisław Wojciechowicz (Olbrechtowicz) który bardzo strojnie i dostojnie r. 1515 prowadził Zygmunta I. na zjazd z Królmi i umarł r. 1542 wojewodą Trockim bezpotomnie, a miał za sobą Barbarę Radziwiłłównę. (Niesiecki. II. 184—5). Któremu z tych przypisany był rękopism polski z r. 1423 to zostawuję sądowi bibliografów, przypominając jednak zdanie Lelewela, iż przed rokiem 1470 żadnych jeszcze nie było *ksiąg tłumaczonych* na polski z obcych języków. Treść materyj zawartych we wspomnionym rękopiśmie, prawie zupełnie odpowiada *zielnikowi* Falimierza i Spiczyńskiego, tylko w uporządkowa-

niu rozdziałów zachodzi różnica, a niektóre myśli o mniemanych własnościach lekarstw, przez Rychtera wypisane z rękopismu rossyjskiego, dosłownie znalazłem w Falimierzu. — W tymże trzecim okresie na str. 110. opisuje Pan Gąsiorowski dzieło lekarskie bez tytułu, w 1564 przez Siennika wydane w Krakowie w 4ce u Łazarza i nazywa je *zielnikiem*, ale już w 1824 r. (*Conspectus morborum inter animalia domestica observatorum. Vilnae. 8.*) rozbiérając pilnie znaczene wyrazów lekarskich tego dzieła, woleliśmy je uważać pod tytułem: *Lekarstwa* lub *Księgi o lekarstwach*, gdyż wydawca *Marcin* Siennik tak dzieło to, w *przemowie* nazywa. Sam nawet Pan Gąsiorowski, na str. 263, przyjmuje jakieś dzieło pod tytułem: *Lekarstwa*, i o tosartości z tamtém domyśla się; chociaż je do czwartego okresu zalicza. Tenże powiada, iż dzieło to około r. 1493 napisane zostało; wiadomo zaś tylko, iż przed koronacyą Króla Alexandra, zatém przed r. 1501, księgi te zebrane były od (nieznajomego) lekarza PP. Pileckich z ksiąg słowiańskich. Może nawet dzieła tego, dwa były wydania: jedno 1563, a drugie 1564; piérwsze znajdowało się w Bibliotece Uniw. Warsz., a drugie posiada Ks. Bisk. Ossiński w Ołyce i zasłużony Professor b. Uniw. Wileńsk. JP. Wolfgang w Połukniu (pow. trock.). (1) Omyłkę uczonego

(1) Porównaj Lelewela Ks. bibl. I, 175. nota. Cy-

Czackiego tyczącą się dzieła jakiegoś lekarza Andrysiewicza (Praw. lit. T. II. str. 39) powtórzoną przez P. G. na str. 227, a dawniéj przez innych lekarzy, sprostował już uczony Ks. Biskup A. Ossiński, (ob. o życiu i pismach Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu. 1816. str. 169.), bo to jest właśnie dzieło wyżéj opisane, wydane 1564 r. w Krakowie przez Siennika u Łazarza Andrysowicza.

Czwarty okres od króla Zygmunta I. aż do kłótni zaszłych między akademią Krakowską a Jezuitami, czyli od r. 1506 do r. 1622. W tym okresie złotym literatury Polskiéj, obfitsze okazują się owoce prac literackich, bo Zygmunt I. był prawdziwym nauk opiekunem, a *Stefan* Batory założył akademią Wileńską; ale Zygmunt III. powodując się Jezuitami, śmiertelny prawie zadał cios naukom. Ze szczegółowego opisu akademij polskich, pod względem medycyny, pokazuje się: że akademia Krakowska miała od samego początku wydział lekarski i dwóch professorów rodaków wydoskonalonych we Włoszech, kosztem funduszu zrobionego w banku weneckim przez Łopackiego, archiprezbitera Krakowskiego; że akademia Wileńska, nie miała z początku

---

tacya zaś Pana Gąsiorowsk. na str. 110 pod liczbą 1, powinna być taka: Bibliot. Polska. 1825. T. IV. str. 140—159 i 1826. T. I. str. 46. Wiedzieć także trzeba, iż ta księga opisywana była i pod tytułem: *Nauka leczenia.*

(aż do r. 1461) wydziału lekarskiego.—Muret nie pisał do Króla listu, jak twierdzi Pan G. (str. 132), ale r. 1584 do *Jana* Zamojskiego. Ten własnym kosztem założył akademią swego imienia, w któréj zaraz od początku (r. 1593) zaprowadzony był wydział lekarski i w nim byli professorami anatomii: Leoncena i *Jan* Ursinus. Była więc w Zamojściu najpiérwsza szkoła anatomiczna w Polsce. Daléj uczony nasz autor opisuje zarazy morowe i inne choroby, które wtym okresie panowały, a mianowicie historyą kołtunu, w czém zbija zdanie Sprengel'a, jakoby ta choroba powstała od najścia Tatarów r. 1288, i rozumie, iż się poczęła okazywać w Polsce r. 1599. Na dowód tego przytacza list ówczesnego Rektora akademii Zamojskiéj *Wawrzyńca* Starnigel'a (ob. Sennert. *Pract. med.* L. V. C. IX. p. 323). Mógłby także wesprzeć swoje dowody listem Biskupa Wileńskiego *Jana* Skuminowskiego pisanym r. 1662 do professora *Lowańskiego* (t. j. w Löwen w Belgium) Plempiusa (*Tractat. de affect. capillor.* Lovanii. 1662. 4. C. 7). Starnigel zaś tak powiada: „*Nunc serpere coepit is morbus et late per totum regnum Poloniae divagatur.*" Przeto wcześniéj przyjąć można objawienie się kołtunu, aniżeli Pan G. rozumie, tojest około r. 1570, czego też Chłędowski (*Leo. Magazin f. Heilkunde. Warschau.* 1828 p. 599) i Lessing (*Handb. d. Geschichte d. Med.* 1838. 1. 444) dowiedli. Zdanie Sprengel'a zbija i to, iż cho-

roby téj w Tartaryi wcale niema. Błędne zaś mniemanie Dogiela (*Codex diplomat.* I) przyjęte przez Schlegel'a (*Ueber d. Ursach. d. Weichselzopf.* 1806. p. 104—112) i innych pisarzów, jakoby kołtun w XI powstał wieku, ze zwyczaju golenia głowy, przez Naruszewicza zbitém zostało; bo ten zwyczaj już w V wieku był zaprowadzony. Zdanie Larrey'a, iż kołtun pochodzi tylko z nieochędóstwa i szczególnéj choroby nie stanowi, nie potrzebuje zbijania. Nazwanie *gwoździec* zasługuje na uwagę; może pochodzi od miasteczka tegoż imienia w środku Pokucia leżącego, to jest w części Gallicyi zwanéj Rusią podgórną, skąd choroba ta pod koniec XVI wieku najbardziéj szérzyć się poczęła. Przed końcem wspomnionego wieku lekarze nie musieli zwracać uwagi na kołtun tu i ówdzie w Europie zdarzający się, ale gdy poźniéj szérzyć się zaczął od zachodu ku wschodowi, zaczęto o nim pisać. Wspomina też P. G. o lekarstwach na kołtun używanych, a mianowicie o barszczu (*branca ursina*), o którym już Syreniusz (*Zielnik.* 1613. str. 82. 194. 674) mówi, ale nie wzmiankuje nic o *barwinku* (*vinca pervinca*). Równie Pan Gąsiorowski (str. 34) jak i Pan Lessing (l. c. 1. 448) domyślają się, iż kołtun pochodzi z zaniedbania w Polsce kąpieli parowych kiedyś upowszechnionych. Dr. Medyński w rozprawie swojéj: *Morborum Koltunosorum brevis monographia, cum tabulis*

pictis,, przesłanéj towarzystwu lekarskiemu w *Montpellier'ze* (*Bulletin de la societé med. chirurg. de Montpellier par* Fabrège. 1838. N. 1) przyjmuje szczególny jad kołtunowy (*virus koltunosus*) i najczęstsze jego objawianie się we włosach, słowem przypuszcza *cachexiam koltunosam*, tak jak *Józef* Frank, sławny Professor Kliniki w Wilnie, przyjął, *diathesin plicosam*. Oprócz tego Dr Medyński powiada; ,, *Scriptores graeci tempore argonautici belli, descripserunt populos septentrionales slavicos, quos σποροι appellant. In fastis eorum invenimus descriptiones populorum septentrionalium, qui capillorum loco, anguillis caput obtectum habent: certo certius trichomate...*" Tegoż zdania byli Bonfigli i Boehm w pismach swoich o kołtunie. Ale mając tylko na celu podanie krótkiéj wiadomości o pracy Pana G. odsyłam badaczów kołtuna do pism: Marcinkowskiego, Weese (*Rust. Magazin.* 1828. B. 25.) Ogończyk-Zakrzewskiego (*Med. litt. Gesch. d. Weichselzop. Wien.* 1830) Oczapowskiego *Jana* (*O kołtunie. w Warszawie.* 1839) i i.

W dalszych badaniach okresu czwartego, zastanawia się uczony nasz autor, nad stanem sztuki i lekarzami ówczesnymi, także nad prawami wydanémi przez Zygmunta I sprzyjającego zawsze lekarzom. Godne uwagi pomiędzy innémi jest prawo z r. 1523, ażeby lekarze w miastach, corocznie przeglądali apteki i sklepy korzenne. W tym o-

kresie wielu uczonych lekarzy z Włoch przybywać zaczęło. *Maciéj* z Miechowa nie szczędził nakładów na założenie drugiéj katedry lekarskiéj, przy akademii Krakowskiéj. Zygmunt II kazał r. 1570 Senatowi Gdańskiemu, za zdaniem lekarzy, ogłosić drukiem taksę lekarstw dla aptekarzy: za czasów zaś Zygmunta Augusta aptekarze polscy zaczęli następować po przychodniach.— Już w r. 1517 magistrat Poznański nadał swemu bractwu cyruliczemu ustawę, którą Zygmunt I we dwa lata poźniéj na sejmie toruńskim potwierdził i która z łacińskiego na polski r. 1593 przełożoną została. (O przywilejach chirurgów wileńskich podaliśmy wiadomość pod artykułem *Chirurgia*, w *Encyklopedyi powszechnéj*, wychodzącéj w Wilnie). W tymże wieku, ogłaszano w Krakowie pisma Paracelsa, pracował też alchemik *Michał* Sędziwoj.— W dalszym opisie tego okresu, dzieli autor sztukę lekarską na sześć rozdziałów, z których każdy zawiéra wiadomość o postępach szczególnych nauk: 1). *Terapii*; w téj opisane są bardzo starannie życie i dzieła *Macieja* z Miechowa (1456—1523), *Adama* z Bochnii, *Macieja* z Błonia, *Jana Benedykta*, Mymerusa *Franciszka*, *Walentego* Morawskiego, *Piotra* Poznańczyka, *Marcina* Boruczkiego, *Jakóba Ferdynanda* z Bary, *Józéfa* Strusia (1510—1568) professora Padewskiego, który w całéj Europie zjednał sobie sławę przez dzieło swoje o pulsie; ja-

kowe autor mając w ręku pilnie rozebrał i obszerne wyjątki porobił. Możeby tu wypadało umieścić Skorinę z Połocka, Doktora med. który 1517—19 wydawał w Pradze tłumaczenia słowiańskie wielu ksiąg dawnego testamentu. Inni lekarze, wzmiankowani w tym rozdziale tyczącym się terapii, są: *Jan* Wojczyk, Gaccy *Antoni*, Wedelicki *Piotr*, *Andrzéj* z Kobylina, *Walenty* z Lublina, cztéréj lekarze z Łowicza, to jest: *Cyprian*, *Szymon*, *Stanisław* i *Felix*, Polidam *Walenty* i Falimierz, o którym jeszcze słów kilka powiem. Wnosząc z przyjętego roku wydania dzieła, żyć musiał pod Zygmuntem I, nie zaś pod Zygmuntem Augustem, chybaby nie swoje pisma wydawał: w przypisaniu dzieła powiada: że *był na usługach przy Panu Krakowskim*, a ponieważ przyjąć można (podług Niesieckiego I. 103), że około r. 1534, panami Krakowskimi nazywano Kasztelanów, byli zaś nimi *Krysztof* Szydłowiecki od r. 1526, a *Jędrzéj* Tęczyński od r. 1533, (Nies. I. 111), przeto może Falimierz u jednego z tych dwóch był lekarzem nadwornym. Jemu pomagał *Hieronim* Spiczyński w ułożeniu dzieła, do którego wydania wielce się przyłożył drukarz *Floryan* Ungler. Dzieło to nie stanowi terapii, ale raczéj materyą medyczną i semiotykę. Ani Falimierz ani Spiczyński nie naśladowali w swoich *zielnikach* ojców botaniki niemieckiéj: *Otto* Brunfels'a, Tragus'a (Bock)

Tabernamontan'a, ani też Włocha Mattiolę, z którego tylko Spiczyński niektóre pobrał ryciny. Puławski exemplarz Falimierza, różnił się nieco co do liczby stronic od exemplarza będącego własnością b. Uniwersytetu Warszawskiego. Znajdował się także exemplarz w Bibliotece Nieświżskiéj i jeden w bibliotece Załuskich pod nazwaniem Siennika (Janoc. III. 301). Wszystkie były bez tyłułu, a exemplarz znajdujący się teraz w Cesarskiéj Bibliotece Petersburskiéj jest bez początku i końca, równie jak i ten, który posiadam (*), a z którego przekonałem się, że *zielniki* Spiczyńskiego r. 1542 i r. 1568 wydane i poprawione przez *Marcina* Siennika, są dosłównem przedrukowaniem Falimierza, z dodatkami z *Andrzeja* z Kobylina i Pedamontana; nawet ryciny u Spiczyńskiego są powtórzeniem Falimierzowskich, mała tylko liczba jest odmiennych, a niektórych roślin nazwiska przekształcone. Własności roślin, minerałów i źwierząt wyłożone są podług nauki Galena, wizerunki na drzewie bardzo niedokładne, a niektóre dziwaczne. Ale

---

(*) Exemplarz ten, szacowny dar wymównego księdza A. S. Krasińskiego, uchodzący u Bibliografów za Falimierza, jest w 4ce drukiem gockim, we dwie kolumny, (oprócz ośmiu kart w jednę); liczbowanie z jednéj strony z napisem *List*. Na piérwszéj str. taki napis: *Tu sie poczyna wypis rze | czy zamorzskiech, y tez rozmagitego nasienia y | inszich rzeczi ku lekarzstwam*

wróćmy się do poczetu lekarzy czwartego okresu: Tektander *Józef*, *Jakób* z Bi-

---

przisluszaiączich: | *które sie za Morzem rodzą y tu u nas*. Pod tym napisem wizerunek morza z trzema okrętami, wielą wysp i brzegiem morskim z roślinami, zajmujący prawie całą stronicę, odwrotna strona nic nie zawiera. *List 2—13. O rzeczach zamorzskich*. *List 2* ma nadpis *Zamorzskich* i poczyna się: *Pirwsze Capithulum o Halenie. Aloes*. Następuje rycina, a po niéj: *Halena iest ciepła y sucha w wtorim stopniu*, i t. d. Od Capithulum 1 do 91 napisy polskie i łacińskie, to jest do listu 42. Na odwrotnéj str. listu 12 przed Capitulum 24 jest: *Czwartha częsc o Owoczoch y o nasieniu rozmagitim, które z ziol pochodzą*. Po Capitulum 54. *Piątha częsc o klijoch rozmugitich* i t. d. Po Capit. 69. List 33. *Szosty rozdział o złocie i srebrze* i t. d. Poźniéj następuje nowe liczbowanie *list*...—156. Capitulum.. 45—261 z nowémi kustoszami drukarskiémi od... E i z napisami przy rycinach łacińskiemi, polskiemi i niemieckiemi. Ta część dzieła nowo liczbowana, w innych exemplarzach na początku położona, zaczyna się od rośliny *Piołyn Absynthium*. Porządek roślin podług alfabetu łacińskich nazwań ułożony. Capit. 45. *Konopie*. Capit. 46. *Szafran domowy*. Cap. 110. *Kantarides*. List 101. Porrum. Capitul. 164. Po liście 156 zawierającym opisanie Wina płonnego, następuje stronica czysta. Poźniéj znowu list 1—59. z takim napisem: *Poczyna sie czwarty Rozdział o rzeczach zywych* i t. d. niżéj rycina zajmująca całą prawie stronicę wyobraża ptaki na drzewach i w wodzie, 4 ryby pływające i 6 źwierząt czworonożnych, a na stronie odwr. list I. *Agnus*, baranek. Capit. 2. Tu są napisy łacińskie i polskie, niemieckich nie ma. List 17. *O ptaczech* — tu nietoperze, pszczoły i t. d. List 29. *Juz Kxięgi są o pthakoch, Teraz sie poczynają o Ribach*, o których ostatnie Capitulum 120. List

skupic, Efor *Anzelm*, Stetkiewicz *Wojciech*, Spiczyński *Hieronim*, *Paweł* Polak, Foksiusz *Marcin*, *Walenty* Reszka, *Antoni* Schneeberger, *Felix* Sierpski Łazarewicz, Chrościewski *Stanisław* z przydomkiem *Niger*, Antonin *Jan*, *Marcin* z Pilzna, Goski *Gaspar*, *Marcin* Siennik, Latosz *Jan*, Nowopolski *Wojciech* i *Paweł*, Duretus *Ludwik*, Maliński *Kasper*, *Jan* Hassler, Piotrkowczyk *Melchior* i *Piotr*, Gliczner *Erazm*, Szeliga *Wojciech*, Reisner *Hieronim*, *Wojciech* Oczko, Oczko *Jan* i *Wincenty*, Ruffus z Welca *Marcin*, *Simon* Simoniusz, Bukcel-

---

46—59. *O kamieniach drogich.* Capitulum 1—44. Potém następuje tytuł ozdobiony aniołkami i satyrami u spodu tarcza z cyfrą V w którey się mieści F (*Floryan* Ungler) a na środku napis: *Nauka Opoznawaniu uriny, to jest moczu tak zdrowego: iako y chorego człowieka*, na str. odwrotnéj rycina wyobrażająca dwóch lekarzy i kobietę z pękiem ziół, pod ryciną śmiesznych rymów 12. Potém listów 6 w jednę kolumnę z rycinkami wyobrażającémi szklanne fiole napełnione do połowy moczem. Daléj nowy tytuł znowu: *O wódkach ziol rozmagitich y o moczi ich:* i t d. pod którym rycina wyrażająca dwie kobiéty przy piecach chemicznych i jednę z ziołami, a nad niemi naczynia aptekarskie. List 1—14. we dwie kolumny. Potém: *Wodki drugie, które są dobre na wiele niemoczy* listów 7 we dwie kolumny od 11—21. Nakoniec list 22 i 23. w jednę kolumnę z tytułem: *Jako olejki sprawiać ku leczeniu*, pod którym powtórzona rycina wyżéj opisana. Kilku innych traktatów nie staje. Oprawa w ciemną skórę, bez ozdób.

la *Mikołaj*, Skwarcialupi *Marcelli*, Blandrata,(1)Sabinka, Chrościewski *Jan Hieronim*, Mikan *Stefan*, Arnut *Jakób*, Herka, Kliszewski, Pipan *Jerzy*, *Jan* Michalski, Crucinius *Andrzej*, Skarbimirski, Grutinius, Umiastowski, Urzędow, Uwiecki, Birkowski, Petrycy, Fontanus *Walenty*, *Marcin* z Klecka, Dybowiecki, Syreniusz, Grodzicki, Joanicki, Posseliusz, Pistoriusz, Weller, Tidiceusz, Mitkowski, Wolfgang, Welumnius, Bartold, Barty, Hucen, Oelhafen, Sapalski, Cziachowski i *Erazm* Syxtus. — II) *Co do Chirurgii*, opisuje P. G. cięcie Cesarskie w Polsce r. 1598 po raz piérwszy zrobione, a poźniéj r. 1624 przez Cziachowskiego wykonane i wspomina o pracach niektórych lekarzy wyżéj wspomionych. III) *Co do sztuki położniczéj*, namienia *Piotra* z Kobylina, Falimierza i Spiczyńskiego, którzy jak się zdaje, jeden od drugiego przepisywali, nadto Cziachowskiego i Księżną Sybilę Dorotę. IV) *Co do Anatomii*, kładnie na czele Radunszyca, którego dzieło łacińskie *o pamięci* 1504 r. wydane nie-

(1) Zapewne *Jerzy* który z Genewy wygnany wprowadził do Polski Aryanizm i był w Krakowie r. 1558. gdzie także żył lekarz Gutteter 1568. r. i *Winc.* Łyszkowicz (1600—1650) od studentów prześladowany; jak świadczy X. W. Węgierski w Kronice zboru ewang. Krak. 4. 1651. (1817).

właściwie za anatomiczne się uważa: poźniéj następuje Nowopolski *Wojciech* (*Fabricatio hominis.* 1551), Leoncena Atestenczyk z Padwy i Ursinus Professorowie w Zamościu, nakoniec Oelhafen. Do *Fizyologów* zaliczają się: *Jan* Głogowczyk, *Glaber* (?), Nowopolski (*Embryolog* w początkach 16 wieku): *Simon* Simoniusz i Possel. Tu warto dodać *Marcina* z Chmielnik (*Chmelecius*) który r. 1559 urodził się w Lublinie, na starość zajmował katedrę medycyny w Bazylei gdzie 1632 umarł. Pisał: *Diss. de humoribus.* 1619. — Basileae. 4to. *Diss. de elementis.* 1623 ib. 4to. (1) V). *Co do Weterynaryi,* rozumie P. G., że dopiéro w XVI wieku poczęto zajmować się tą nauką, w obcych krajach *i poźniéj aniżeli u nas*; ale pominąwszy pisma dawnych *Hippiatrów greckich* i dzieło gospodarskie: *Geoponica*, już w r. 1480 *Laurentius* Rusius wydał po raz piérwszy dzieło swoje w Rzymie, paryzkie zaś wydanie (1531) jest powtórném, oprócz tego w XIII wieku Jordanus Rufus pisał o Weterynaryi. Przed rokiem zaś 1531, wyszły następujące dzieła: *Proprietes and medicines for a Horse.* — *Westminster* 1500. — *Cito del conoscere le infirmita del Cavallo.* — *Venet.* 1508. Bardzoby dla nas pożądaną by-

(1) *Wincenty* Łyszkowic praktykował w Krakowie (1617—48), a jako Kalwin, wiele ucierpiał od studentów.

ło rzeczą do historyi weterynaryi, znaleźć badania o dawności i urządzeniu stad koni, o piérwszych Koniuszych w kraju; a najbardziéj historyą najdawniejszych zaraz czyli chorób morowych na rozmaite źwierząt domowych rodzaje. Na czele dzieł weterynarskich położone: *Lekarstwa końskie doskonałe* i t. d. jakie się znajdowało w Puławach i ma być wydane około r. 1501. zdaniem P. G., który może o tém wnosi z numeru 1501 położonego przy tém dziele, w piśmie: *Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim w Puławach*. — *Warsz.* 1828. str. 125, innych albowiem dowodów na ten domysł nie znajduję. (Ob. Bibl. polsk. T. IV. 1825. N. 3. str. 245). Poźniéj wzmiankuje nasz autor rozprawę: *Nauka lekarstw końskich* umieszczoną w dziele wydaném przez Siennika, r. 1564, którego tytuł może był *Lekarstwa*, jak wyżéj wspomnieliśmy. Warto jeszcze dodać: 1) *Księgi Piotra* Krescentyna *tłumaczone przez* Trzecieskiego, w Krakowie. 1549, drugie wyd. 1571, albowiem 8, 9 i 12 księga zawiérają przedmioty weterynarskie podług Varrona, Palladiusa i dzieła wydanego przez Siennika, o którém tylko co namieniliśmy. 2) Nauka (*Instrukcya*) dana przez Zygmunta Augusta, 1558 do rozmnożenia stad w ekonomicznych dobrach. (Czacki. o Lit. praw. II. 241)). 3) Miciński *Adam o Swierzopach i Ograch*, 1570, (tamże). 4) Rękopism *Fabiana* Cemezr. 1624 pod tytułem: *O*

Stadzie, to jest krótkie opisanie i t. d. przypis Hrabiemu Leszczyńskiemu i t. d. Oryginał był w Warszawie, a część jego posiadam w kopii.

Co do Hippiki Dorohostajskiego, ta jeśli nie cztéry, to pewno trzy miała wydania, a to, które posiada P. G. nie jest z r. 1647, ale należy do wydań bez roku, które się znajduje w bibliotece Uniw. Lwowskiego, w bibl. wielk. Drezdeńskiéj i u mnie. *Hippiki* Pieniążka dwa były wydania z r. 1607, jedno widziałem w bibliotece Ossolińskich, nawet Tykel (*O koniach.* — w Warszawie. 1828. str. 3) wspomina o wydaniu 1603 r.? VI). *Co do medycyny policyjnéj* zebrał nasz pracowity i uczony autor ciekawe wiadomości, kończy zaś dzieło wzmianką o *Medycynie sądowéj*, o któréj nic nie znalazł do powiedzenia w tym okresie czwartym.

Dzieło to P. G. czytaliśmy z największą przyjemnością i zalecamy je każdemu lekarzowi; ponieważ klassyczném nazwać się będzie mogło, po jego zupełném i szczęśliwém ukończeniu. Papiér wyborny, druk piękny, omyłek drukarskich mało, zalecają także dzieło. Oczekiwać będziemy z niecierpliwością na dalsze tomy, w których spodziewamy się znaleźć tablice chronologiczne, z treścią okresów i rozdziałów. Co do języka ten jest czysty i poprawny; wolelibyśmy jednak zamiast wyrazu *trtęć*, czytać żywe srébro, albo merkuryusz; zamiast *kiła*, choroba syfilityczna, lub weneryczna, a zresztą dworska lub

nawet przymiot; bo inaczéj każdemu na myśl przyjdzie *przepuklina*; i t. p. Jako bowiem tworzenie wyrazów nowych jest często zbytecznem i śmiésznem, tak równie znowu, wskrzeszanie dziwacznych i nieutartych wyrazów dawnych i zapomnianych uważamy za niepotrzebne zeszpecenie języka.

(*Doktor A. F.* Adamowicz, Profess. Cesar. *Med. Chir. Akad. Wil.*)

— Trzy śpiéwy z muzyką Stanisława Moniuszki. — w Berlinie.

O tych kompozycyach młodego naszego artysty Tygodnik Literacki poznański umieścił zdanie prawdziwego znawcy muzyki, które tu, co do słowa powtarzamy. (1)

«Z prawdziwą przyjemnością donosimy o tych pieśniach jednego z młodych rodaków, w którym miło nam poznać utalentowanego kompozytora śpiéwu, jakich dotąd prawie wcale nie posiadamy. Dziwną jest rzeczą, że naród nasz, powszechnie tak lubiący śpiéwać, nie wykształcił i nie wykształca tego najpiękniejszego dziecka muzyki i poezyi — śpiewu. A jednak nasze piosnki ludu tak piękny, tak wzniosły podają *umnikowi* muzykalnemu materyał do tworzenia bozkich dzieł. Cóż Niemcy nie utworzyli z swych piosnek, cóżbyśmy utworzyć nie mogli z naszych piosnek

---

(1) Ob. Tygodnik literacki i t. d. Tom I, str. 384.

narodowych? Dotąd jednak prawie żadnych, w wyższym rodzaju, śpiéwów nie mamy; wszystkie nasze pieśni są albo czystém naśladowaniem włoskiéj muzyki, téj muzyki, że tak powiém bez umu, do zmysłów nie zaś do serca przemawiajacéj, albo błahémi mazurkami; kilka śpiéwów Kurpińskiego, Lipińskiego, Chopin'a i niektóre J. Nowakowskiego, oto cała nasza literatura muzyczna śpiéwów. Cieszyć się więc trzeba, iż P. Moniuszko, jak się nam zdaje, temu rodzajowi kompozycyj wyłącznie się oddał. *Trzy śpiewy* jego okazują talent, muzykalne wykształcenie i fantazyą — dość zalet, aby autor stać się kiedyś mógł wielkim przy ciągłéj pilności i kształceniu. Text pieśni, jest stosownie obrany, tłumaczenie niemieckie (Blankensea) wierne i trafne.— Piérwsza pieśń Sen: *Chociaż zmuszona będziesz* i t. d., jakkolwiek najmelodyjniejsza, zdaje nam się najmniéj oryginalna; myśl przynajmniéj nienowa. Przejście w dziewiątym i dziesiątym takcie jednak śliczne, okazało nam myślącego kompozytora. Niektóre przejścia równie w téj, jak i w trzeciéj pieśni, możeby Relstab lub Fink podkréślił, lecz pewni jesteśmy, żeby je R. Szuman pochwalił. Chwalimy i my idąc za zdaniem Göthe'go:

„*Grau, Freund, ist jede Theorie.*„

Koniec piérwszéj pieśni śliczny, odpowiadający, co główną rzeczą być powinno, poe-

zyi. Druga piosnka: *Gdy cię nie widzę* i t. d., najbardziéj nas zajęła, jest w niéj wiele poezyi, równie jak w ostotniéj: *Moja pieszczotka* i t. d., w któréj zdaje nam się, iż widzimy pieszczotkę, która tak *wiele szczebioce i grucha.* Lecz to są słowa, muzyka nie da się opisać, trzeba słyszeć, śpiéwać, grać, a przede wszystkiém czuć i myśleć. Zalecamy więc te pieśni wszystkim muzykalnym czytelnikóm i czytelniczkóm naszym, zaręczając, iż jeżeli nie mają jeszcze smaku na lekkiéj, włoskiéj i francuzkiéj muzyce zepsutego, wraz z nami życzyć będą, aby utalentowany kompozytor znów wkrótce nas zbiorem kilku tak pięknych pieśni obdarzyć raczył.»

Zdanie to biegłego i trafnego znawcy potwierdziła nasza muzykalna publiczność, zachęcającém przyjęciem kompozycyj P. *Stanisława* Moniuszki, który z namiętném poświęceniem się piękny swój talent ciągle doskonali. Przepędził on już czas znaczny w Berlinie ćwicząc się pod najbieglejszymi tam mistrzami. Dziś powróciwszy do kraju dla pocieszenia obecnością swoją przywiązanych rodziców, krewnych i licznych przyjaciół, znowu się udaje za granicę dla kończenia chlubnie rozpoczętego zawodu.

Przy téj wzmiance o talencie niepospolitym i dziełach piérwiastkowych naszego młodego ziomka artysty, niemniejszą spodziewamy się zrobić przyjemność naszym czytelnikóm donosząc, iż tenże Pan *Stanisław* Moniuszko, w przejezdzie swoim przez Wilno,

jadąc napowrot do Berlina, do Akademii muzycznéj, dla dalszego kształcenia się w przedsięwziętym zawodzie, nowémi płodami pobyt tu swój odznaczył, i imie swoje miłéj i i wdzięcznéj rodaków przekazał pamięci.

I tak: oddając hołd należny pracóm i zasługóm w dziełach muzycznych Pana **Elsnera**, przedtém Rektora Konserwatoryum muzycznego w byłym Uniwersytecie Warszawskim, o którego *Oratorium* wykonaném w Wilnie, pod dyrekcyą samegoż autora, w Kuryerze Litewskim, obszerną mieliśmy wiadomość, złożył temuż Panu **Elsnerowi** kwartet swojéj kompozycyi, dotąd jeszcze w rękopiśmie będący.—Dorobił potém muzykę do Komedyo-Opery: *Nocleg w Apeninach* przez *Alexandra Hrabiego* **Fredra** napisanéj, i exekwowanéj na Teatrze Wileńskim, przez Artystów Polskich, a mile od Publiczności przyjętéj. Skromność kompozytora, i małe przywiązywanie wagi do téj pracy, nie dozwoliły mu, położyć przy niéj swojego imienia, jakkolwiek prawdziwi znawcy, z roskoszą przysłuchiwali się temu utworowi.

Daléj napisał muzykę do Mszy, która d. 12 Listopada na uroczystość Opieki Najświętszéj Panny Maryi Ostro-bramskiéj, w kościele XX. Karmelitów, przy celebrowaniu przez samegoż Dyecezalnego Biskupa, po większéj części przez amatorów, odegraną była.

Pośpiéch i brak czasu w wyuczeniu się należytém, i nadzwyczajna szczupłość choru, tak, że orkiestra była rozdzieloną na dwie części,

jedna drugiéj słyszeć dobrze niemogące, sprawiły, że exekucya Mszy téj nie odpowiedziała oczekiwaniu samegoż kompozytora; czém powodowani artyści, ceniąc wysokie talenta młodego autora, postanowili z własnego natchnienia, poźniejszém wypracowaniem, i dobraniem obszerniejszego kościoła i dogodniejszego choru, oddać tę Mszą należycie. Jakoż na dniu 26 Listopada w kościele św. Jana, przy gorliwém staraniu szanownego Dziekana *v.* Proboszcza, X. Meunué, i przy pomocy głosu, znanéj już chlubnie u nas, przedtém Pani Brodowiczowéj, dziś Skibińskiéj, Msza ta, zaspokoiła tą razą i samego autora i nader licznie zebranych słuchaczy, z roskoszą postrzegających w ziomku swoim, talenta nader świetne nadal rokujące nadzieje. Pracę tę swoję zamierza autor, po jéj przejrzeniu, poświęcić jednemu z duchownych i uczonych tutejszych zgromadzeń.

Do lżejszych utworów tu wyszłych, dodaćby można śpiéw do wiérsza: *Chochlik*, także bezimiennie w litografii Pana Wejssa wydany, którego muzyka lekka, wesoła, pełna swobody, zupełnie i miaróm wiérsza i jego duchowi odpowiada.

POWAB KRADZIEŻY.

Jestże choć jedno z Prometeja dzieci,
Do tyla biédne, nawykłe do cienia,
By, mogąc wykraść cząsteczkę promienia,
Wolało czekać aż sam promień zleci?

Jestże na ziemi kątek tak ustronny,
Gdzieby nieznano téj małéj kradzieży,
By, mogąc porwać całunek pół-bronny,
Wolano czekać aż on sam nadbieży?

STAN BŁOGI.

Możnaż być bliżéj niebieskiego stanu,
Jak ten szczęśliwy wyznawca Koranu,
Który tak pamięć w opium pochowa,
Iż nie wié: zawój spadł-li mu, czy głowa?

Możnaż być bliżéj niebieskiego stanu,
Jak w oczach lubéj wzajemność wyczytać,
Być już kochanym, lecz wątpić i pytać,
I słyszeć tylko skromne: „Sprzyjam Panu"?

PAPA I KOSTUŚ.

Prawdaż to Papo, iż są takie góry,
Ale to pewnie bajka, że wyższe nad chmury,
I że z nich, prosto, niebo widzieć można?
— Ujrzeć niebo oczyma, synu, to myśl próżna,
Ale są inne chmury, życia tego chmury,
Nad nie to wznieść się starać się nam trzeba,
I jeśli tego dokazał człek który,
Taki za życia dostał się do nieba.

NAGROBKI DZIÉCIĘCIU.

I.

Pierwiosnku w pączku podcięty,
Żałości zroszony łzami;
Aniołku w niebiesiech święty,
Proś BOGA za rodzicami!

II.

Synu! łzy leją po tobie
Rodzice, z wyroków nieba:
Nie słuszniejże było trzeba,
Byś ty płakał na ich grobie?

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU JEDÉNASTYM ZAWARTYCH.